

PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego

WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI
XVIII, XIX i XX.



TOM I

obejmujący
zeszyty 1—6

oraz

Album portretów
Serja I.

CENA zł. 3.

.....

WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY
w DOMU
KSIĄŻKI POLSKIEJ
Plac Trzech Krzyży

Nr 8.

1928 r.

Roznosicielka wody.

<http://rcin.org.pl>

PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego
WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI
XVIII, XIX i XX.

BRACIOM SWOIM
I KOLEGOM
PAMIĘTNIKI TE
I WSPOMNIENIA
MŁODOŚCI
WSPÓLNIE
PRZEBYTEJ
POŚWIĘCA
AUTOR.

.....

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY
w KSIĘGARNI
GEBETHNERA
..... i WOLFFA
1921 r.

PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego
WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI
XVIII, XIX i XX.

BRACIOM SWOIM
I KOLEGOM
PAMIĘTNIKI TE
I WSPOMNIENIA
MŁODOŚCI
WSPÓLNIE
PRZEBYTEJ
POŚWIĘCA
AUTOR

Odbito w tłoczni p. f. „St. Święcki“ w Kielcach
w małej ilości egzemplarzy.

WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY
w KSIĘGARNI
GEBETHNERA
I WOLFFA

1927 r.

Cołtyt 2.

V.

Lata uniwersyteckie w Szkole głównej w Warszawie

(r. 1864 do 1869 r.)

Wydział przyrodniczy.

Dnia 8 października 1864 r., pożegnawszy się z młodszym rodzeństwem i najdroższą matką, z jej błogosławieństwem na dalszą drogę życia, zabrawszy patent gimnazjalny i kufarki podróżne, wyruszyłem z ojcem do Warszawy na uniwersytet.

Z Chęcini wózkami najętymi wyjechaliśmy o świcie do Kielc, skąd kareta pocztową dalej przy pięknej pogodzie jesiennej. Po obiedzie w Szydłowcu, stanęliśmy wieczorem w Radomiu. Tam odwiedziliśmy wujostwo Daniewskich, którzy po herbacie odprowadzili nas ze swymi dziećmi na pocztę. Dalszą drogę, przez Grójec, odbyliśmy nocą i nad ranem przybyliśmy do Warszawy o godzinie 8-ej.

Z Alei jerozolimskiej kareta pocztowa podwiozła nas podrodze na ulicę Chmielną, przed dom stryja Marcelego, brata ojca. Stróż Teodor zniósł nasze kufarki do mieszkania na parterze. Stryjostwo wstawali wcześniej, zastaliśmy ich przy śniadaniu, na które wyszła wkrótce młoda paniuszka jedynaczka stryjostwa a moja kuzynka Marynia. Stryjostwo mieli też jednaka Kocia czyli Konstantego, który zmarł niedawno w młodocianym wieku, jako zdolny uczeń gimnazjum. Stryj był z tego powodu długi czas bardzo złośliwy.

Po śniadaniu stryj Marcele zaprowadził nas na II-gie piętro w oficynie do mieszkania, które dla mnie na stały pobyt w Warszawie przygotował, uprzedzony zawczasu listownie przez mego ojca o moim przyjeździe, a sam udał się wrótce do biura swego na ulicę Leszno, do t. zw. Prokuratorji Królestwa polskiego, gdzie pełnił urząd radcy. Stryj był bardzo pracowity i punktualny, i nawet w niedzielę sprawy pilniejsze w biurze załatwiał, do kościoła bowiem nie chodził.

Dom stryja przy ulicy Chmielnej, podówczas czwarty od ul. Nowy świat idąc po stronie prawej, miał numer miejski 8-my, a hipoteczny 1525. Była to duża kamienica dwupiętrowa, o stylu

prostym w linjach bardzo harmonijnych z wysoką bramą wjazdową, zbudowana solidnie przez słynnego architekta warszawskiego Markoniego (twórcy pałacu Towarzystwa kredytu ziemskiego, oraz innych pięknych budowli). W obszernym podworcu prostokątnym ciągnęły się po obu stronach dwie oficyny dwupiętrowe, za niemi w głębi mały ogród, oddzielony murem od posiadłości sąsiednich.

Mieszkanie stryjostwa znajdowało się na parterze od frontu po prawej stronie bramy, z której przez drzwi oszklone prowadziły schody główne na piętra górne. Z sieni dolnej prowadziły drzwi parterowe do przedpokoju. Z tego naprawo do salonu o dwóch oknach. Do niego przylegał pokój sypialny stryjki i siostry, o jednym oknie od frontu. Z przedpokoju, nalewo był gabinet stryja też o jednym oknie od podwórza; naprost pokój jadalny o jednym oknie. Stąd mały pasaż prowadził do kuchni, z której było wyjście do sieni i na podwórze, oraz na górę na schody boczne, prowadzące na piętra w oficynie prawej.

Mieszkanie moje mieściło się w tej właśnie oficynie prawej na drugiem piętrze w mansardzie. Składało się z przedpokoju obszernego i dwóch pokoi, o jednym oknie każdy. Okno ostatniego pokoju w ścianie szczytowej dawało widok na kilka ogrodów sąsiednich i sadów owocowych pełnych bujnej zieleni i starych drzew, mianowicie na park pięknej willi księcia Jana Tadeusza Lubomirskiego, której front wychodził na ulicę Warcką, równoległą do Chmielnej.

Ja zająłem zaraz ostatni pokój, jako nieprzechodni, najcichszy, z dobrem powietrzem i owym pięknym widokiem na wielkie ogrody.

Umeblowanie stanowiła tam duża kanapa staroświecka i kilka stołków wyścielanych, krytych adamaszkiem czerwono-czarnym, oraz stół okrągły o jednej nodze z drzewa orzechowego.

Kuferki moje przyniósł niebawem stróż Teodor, młody człowiek, który zgodził się zaraz ze mną do posługi kawalerskiej za 10 złp. miesięcznie. Poszedłem z nim na miasto zakupić rzeczy najpilniejsze: miednicę, dzban do wody, parę szklanek, lichtarz, paczkę świec stearynowych, zapalki i t. p. Po powrocie do domu Teodor wystął świeżem sianem mój pusty siennik, który z sobą przywozłem. Nastęczył mi też tanie kupno łóżka u pań, które poprzednio zajmowały moje mieszkanie, a przeniosły się obok do sąsiedniego domu. Poszliśmy zaraz do nich. Były to dwie siostry starszki, panny Jarmund znajome stryjostwa. Duże łóżko drewniane politurowane odstąpiły chętnie za parę rubli. Stróż przyniósł je do mego mieszkania i ułożył pościel wydobytą z łomoka, podziwiając poduszkę safjanową, haftowaną z jednej strony w prześliczne kwiaty różnobarwne umyślnie dla mnie przez moją najdroższą matkę.

Po przyniesieniu w nowym dzbanie świeżej wody z pompy w podwórzu, umyłem się i orzeźwiłem po niespanej nocy z drogi,

i zeszedłem nadół do stryjostwa, gdzie zastałem już ojca, który wrócił z miasta po załatwieniu swoich sprawunków. Stryjostwo obiadowali zwykle o godzinie 2-iej, po powrocie stryja z biura.

Po obiedzie, stryj według swego zwyczaju jako człowiek już starszy, a ojciec jako znurzony podróżą nocną położyli się dla wypoczynku. Ja ze stryjenką i siostrą Marynią, korzystając z pięknej pogody jesiennej, poszliśmy na przechadzkę do ogrodu botanicznego i przepięknego Parku Łazienkowskiego. Później sam odbywałem częste przechadzki do tej uroczej siedziby nieśczęsnego Stanisława Augusta, dla wytchnienia i dla ulubionych studjów botanicznych.

Tymczasem popołudniu stróż Teodor kupił dla mnie furę rąbanego drzewa sosnowego, zniósł i ułożył je starannie przy ścianie w moim przedpokoju.

Nocleg dla ojca urządzono u stryja w jadalni, na wygodnej otomanie. Ja też zaraz po herbacie, pożegnawszy stryjostwo, udałem się do moich pokoików już prawie całkiem urządzonych. Ułożywszy na stole moją bibliotekę podręczną, i przejrzawszy świeży numer „Gazety warszawskiej“ pożyczony od stryja, ległem na miękiej pościeli, i spałem twardo do rana.

Zbudził mię wczesnie świergot ptactwa w ogrodach i wzrastający stopniowo gwar wielkiego miasta. Ubrałem się śpiesznie i zeszedłem na śniadanie do stryja.

Wkrótce potem wybraliśmy się z ojcem dla załatwienia wpisu do Szkoły głównej, z naszej ulicy Chmielnej, dość wąskiej tu między wysokimi domami, przez Nowy świat. Ulica owa długa i szeroka, jedna z głównych naszej stolicy, miała podówczas (w drugiej połowie XIX wieku) całkiem inny wygląd niż później na początku XX stulecia. Nie było tam wówczas wcale sklepów na parterach kamiennic przeważnie piętrowych lub dwupiętrowych, lecz wszędzie mieszkania frontowe. Chodniki czyli trotoary dla nielicznych przechodniów, zabrukowane małemi głazami polnemi, wyłożone były środkiem tylko i wązko płytami szarego marmuru checińskiego, wytartemi i śliskimi. Pod ścianami kamiennic i ponad ściekami zieleniła się trawa; środkiem ulicy, brukowanej licho takż kamieniem polnym, snuły się rzadka dorożki i ciężkie omnibusy parokonne, lakierowane żółto, zwane kanarkami. Dalsza droga nasza prowadziła przez ulicę Krakowskie Przedmieście, obok pałacu Staszycy i pomnika Kopernika, zabudowaną wspanialej z piękną perspektywą.

Naprzeciw pałacu Kraszińskich skręciliśmy na szeroki przejazd, między pałacem ksiąząt Uruskich a szpitalem św. Rocha, do pałacu Kaźmirowskiego siedziby uniwersyteckiej Szkoły głównej.

W kancelarji rektora, mieszczącej się nadole w prawym pawilonie bocznym, wniosłem opłatę półroczną 10 rubli, przedstawiłem patent gimnazjalny i dopełniłem formalności wpisu na wydział matematyczno-fizyczny.

Przy wyjściu z gmachu głównego na rozległym dziedzińcu, przy pięknej pogodzie słonecznej, snuło się mnóstwo studentów w granatowych mundurach, oraz młodzieży cywilnej śpieszącej do zapisu.

Wkrótce też spotkaliśmy dwóch moich dawnych kolegów z Kielc: Ignacego i Stanisława Newelskich, którzy o rok pierwej ode mnie ukończyli gimnazjum i byli już akademikami na wydziale prawa. Po wesołym powitaniu, naturalnie mnóstwo zapytań, wzajemna wymiana adresów i zaprosiny odwiedzin, z czego też wkrótce korzystałem, aby się informować o całym życiu studenckim i warszawskim.

Z ojcem i młodszym kolegą Ignacym Newelskim, poszliśmy na ulicę Długą do krawca Winnickiego, zamówić mundur dla mnie. Tam też od razu kupiłem palto gotowe i czapkę studencką.

Pożegnawszy kolegę na placu Kraszińskich, wsiedliśmy z ojcem do omnibusu, i pośpieszyliśmy na ulicę Chmielną do stryjostwa na obiad. Po południu z paniami poszliśmy do Saskiego ogrodu na lody. Ojciec wstąpił po bilet do łoży na przedstawienie „Halki” Moniuszki w Teatrze wielkim, którego orkiestrę dyrektorem był właśnie twórca tej opery. Stryj z powodu słabego zdrowia chodził spać wcześniej, i nie bywał w teatrze ani na późnych zabawach wieczornych. Na „Halke” po herbacie pojechały z nami tylko same panie.

Nazajutrz rankiem pośpieszyłem do uniwersytetu. W przed-sionku głównego pawilonu wykładowego mieściły się tablice z ogłoszeniami kancelarji rektora i czterech wydziałów z rozkładem prelekcji i t. p. Kilku profesorów sekcji przyrodniczej wydziału matematyczno-fizycznego, na który się zapisałem, ogłosiło już o rozpoczęciu swoich wykładów w przysłym tygodniu. Zapisałem sobie dnie i godziny odczytów, a odchodząc dostrzegłem obok przy tablicy wydziału historyczno-filologicznego kolegę z Kielc Aleksandra Bierzyńskiego.

— Witaj Olku! wołam, dawnoś przyjechał?

— Wczoraj dopiero, i wyobraź sobie nie mogę znaleźć mieszkania; teraz po rozpoczęciu kwartału małe mieszkania studenckie już pozajmowane.

— No to słuchaj, mówię mu: mam dwa pokoje z przed-pokojem w domu stryja bezpłatnie, niedaleko na Chmielnej tuż przy Nowym świecie. Chodź do mnie obejrzyj, jeśli ci się spodoba, to pokój środkowy możesz zająć zaraz.

Powiedziano — zrobiono! Idziemy, Olek ogląda mieszkanie, zgadza się i pyta:

— Ileż mam ci płacić miesięcznie?

— Mój kochany, mówię, co za dzikie pytanie? Ja mam budę bezpłatnie więc od ciebie nic nie chcę. Jak sobie znajdziesz lepszy pokój to się przeniesiesz. Tymczasem dodam ci jeszcze meble: kanapę do spania, dwa stołki i stoliczek.

— Zgoda, ale tak nie uchodzi, ty mi dajesz pokój, ja biorę opał na siebie.

— Skoroś taki uparty, dobrze, a za usługę dodasz stróżowi domu od siebie parę złotych.

— Skończon! Dziś przed wieczorem przywożę moje tłomoki od Felka Holewińskiego, który mię przyjął do siebie tymczasem.

— To i on tu już jest? gdzie mieszka?

— Na Długiej, w pałacu Komisji sprawiedliwości. Jego stryj profesor prawa cywilnego Władysław Holewiński, jest tam dyrektorem kancelarji, i zajmuje duże mieszkanie rządowe. Felek i jego brat Wacek, szczęśliwcy, mają od niego dwa pokoiki w oficynie na dole bezpłatnie. Wszystkie nasze Kielczaki tam się codzień zbierają. Chodź i ty!

— Dobrze! gdybyś mię nie zastał wieczorem klucz będzie u stróża Teodora; wstąpimy zaraz do niego.

Schodzimy. Stróż zamiata podwórze, wołam go i mówię:

— Słuchajcie Teodorze: pan Bierzyński mój kolega, będzie u mnie mieszkać, i wam za usługę od siebie dopłacać. Klucz od mieszkania zostawiam u was, jak przyjedzie wieczorem z rzeczami, znieście je i klucz panu oddacie. Rozumiecie?

— Rozumiem, panie!

— No, Olek chodźmy. Cóż zapisałeś się już na filologję?

— Jeszcze nie, jutro się zapiszę; wykłady się nie zaczęły.

— Ładna Warszawa prawda?

— A i warszawianki istne syreny!

— Ah! ty Don Juanie! Ale patrz jakie świetne wystawy w księgarniach, u Wendego, u Gebetnera. Co za atlasy wspaniałe.

— Daj mi pokój z bibułą, jeszcze jej się nawąchamy do zbytku... Patrz jaki boski „puch marny“ nas minął „co mu postaci zazdroszczą anieli“ i jeszcze się ogląda... Ale otóż i Podwale, chodźmy tędy będzie bliżej, przez bramę tylnej oficyny Komisji sprawiedliwości. Okno Felka uchylone, słyszysz jaki tam gwar? śpiewają!

Gaudeamus igitur

Juvenes dum sumus.

Post jucundam juventutem,

Post molestam senectutem,

Habebit nos humus...

Olek tuż przy progu huknął basem:

Habebit nos humus!

Drzwi otwarły się nagle, za niemi ukazał się Felek wołając:

— A witaj Stachu, witajcie!

I znów serdeczne uściski rąk i krzyżowe pytania. Wacek Holewiński, drugoletni student matematyki, tegiej tuszy bez zakłada i bez kamizelki, leżąc na łóżku w pozie rycerza średnio-wiecznego z grobowca, podaje mi prawie protekcyjnie:

— Witajcie „futory“!*) woła — hej Jungiewicz, masz tu czterdzieści piwa na powitanie gości!

Witam się z kolegami: Jungiewiczem Romanem, Rybarskim Feliksem, Przyborowskim Walerym, Januszem Ignacym, Włockim Stanisławem kielczanami miłymi i każdego pytam o nowiny.

Jungiewicz wkrótce przynosi piwo, Felek nalewa małe szklaneczki, Wacek wznosi toast:

— Zdrowie „futorów“ przyrodników, filologów et cetera.

— Zdrowie gospodarzy! dziękujemy!

— Cóż Stachu, pyta mię Felek Holewiński, zapisałeś się?

— Tak jest, na sekcję przyrodniczą. A ty?

— Na matematykę, tak jak my ułożyli jeszcze w Kielcach.

Wacek uderza pięścią w stół:

— Uciszcie się! Idziemy dziś wszyscy na „Halkę“. Jungiewicz masz tu trzy ruble, przynieś dwadzieścia biletów na „jaskółkę“, tylko żywo, żeby nie rozkupili!

— Ja protestuję, wczoraj byłem na „Halce“.

— To nic, woła Wacek, dzisiaj musisz iść razem z nami, dawaj złotówkę! dostaniesz bilet od Jungiewicza.

— Dla kompanji dał się cygan powiesić, płacę!

Olek prosi o głos i mówi:

— Cni gospodarze, dzięki wam za przytułek, dziś wieczór przenoszę się od was do Stacha tu obecnego na ulicę Chmielną. Będzie wam luźniej beze mnie. Bo widzisz Stachu, objaśnia mię, my tu wszyscy mieszkamy kątem u Wacka tymczasowo.

— Kiedy tak, to mogę wziąć jeszcze jednego kolegę na kwatere, bo mam trzy pokoiki: jeden dla siebie, drugi dla Olka, a trzeci jeszcze wolny.

— Dobrze, mówi Wacek, dam ci Jungiewicza, bo ma już własny siennik i samowar, to Krezus.

Jungiewicz wpada właśnie z biletami na „Halkę“, rozdaje obecnym, każdy płaci za siebie po złotówce; resztę biletów rozbiórą inni koledzy wieczorem.

— Słuchaj Jungiewicz! przemawia Wacek uroczyście. Olek przenosi się od nas dziś wieczorem na Chmielną do Stacha, który ciebie też bierze na kwatere, póki nie znajdziesz mieszkania. Zawołajcie dorożkę i pojedziecie razem z Olkiem z rzeczami. Punkt zborny do Teatru wielkiego przy wejściu na paradyz. A teraz idziemy na obiad do Andzi.

Obiady w restauracji Anny Czuleńskiej, przy Placu teatralnym na rogu ulic Senatorskiej i Bielańskiej, na I piętrze nazywano popularnie u „Andzi“. Wszystkie porcje obiadowe liczone tam po 20 groszy, do wyboru ile i co kto chciał, z zupą albo bez zupy same mięsne potrawy. Stołowało się tam sporo studentów, literatów, dziennikarzy, aktorów i t. p. Za dwa złote trzema daniami można się tam było pożywić dostatnio.

*) „Futor“ nowożytny pisowacz, student.

Ja pożegnałem tym razem kolegów, i poszedłem na obiad do stryja, gdzie ojciec już na mnie oczekiwał. Po obiedzie opowiedziałem ojcu i stryjowi o mojem spotkaniu z kolegami, i o przyjęciu dwóch tymczasowo na współlokatorów, jako nie mogących sobie znaleźć narazie odpowiedniego mieszkania. Stryj, jako człowiek dobrego serca nie sprzeciwił się temu. Ojciec zauważył tylko, aby owi koledzy oraz ich znajomi nie byli mi przeszkodą w studjach; zapewniłem ojca, że może być o to spokojny, bo towarzysze moi będą równie gorliwie jak ja pracować, znam ich bowiem z tej strony jeszcze z gimnazjum kieleckiego.

Zabrawszy świeże gazety, podziękowałem stryjowi za jego łaskawość i oznajmiłem, że wieczorem nie przyjdę, bo będę u siebie czekać z herbatą na sprowadzenie się kolegów.

Wyszedłem jeszcze na miasto zakupić kilka szklanek, spodków, łyżeczek, noży i widelców, paczkę herbaty, cukru i bułek. Wróciwszy do domu zawczasu ustawiłem wiktuały na stole. Wkrótce zajęchała dorożka na podwórzec. Olek ze stróżem znosił rzeczy; Romek Jungiewicz został na dole pilnować, za drugim obrotem zniesiono wszystko, a co najważniejsza wspaniały samowar mosiężny. Stróż nastawił go zrećźnie i szybko w pierwszym pokoiku, gdzie w piecu kaflowym była duża framuga z drzwiczkami z wylotem do komina, aby samowar nie dymił w mieszkaniu. Olek wydobył z kuferka parę łokci wybornej kielbasy krakowskiej z Kielc, przywiezionej na zapas. Romek postawił na stole butelkę piwa wziętą po drodze. Uczta powitalna była wspaniała.

Olek spojrzął na zegarek i zakomenderował:

— Panowie czas do teatru!

Ruszyliśmy żwawo najkrótszą drogą przez Saski ogród, Paradyz czyli jaskółkę otwierano zwykle o godzinę pierwej, czyli o 7-ej przed rozpoczęciem przedstawienia. Romek, przybywszy wcześniej od nas do Warszawy, znał już wszystkie przesmyki teatralne i przodował. Po wielkich szerokich schodach przebyliśmy kilka pięter pośpiesznie, aby dostać dobre miejsce. Ale nasz pośpiech był zbyteczny, bo choć na jaskółce było już rojno i gwarno, z pierwszego rzędu wpośródku zawołało na nas kilku kolegów, co przyszli najwcześniej i zajęli miejsca dla wszystkich dwudziestu towarzyszków. Studenci wogóle rej wodzili na paradyzie, i nikt im nie śmiał wchodzić w drogę. Przywitaliśmy się z kolegami, między którymi było jeszcze kilku nowo-spotkanych kielczaków: Antoś Andrzejowski syn lekarza powiatowego kieleckiego, Zygmunt Krzyżkowski syn adwokata i inni. Nakrótka przed podniesieniem kurtyny wtoczył się wspaniale Wacek Holewiński ze swymi „poplecznikami“, jak nazywano jego stałych towarzyszków i bywalców teatralnych. Zrobiono im miejsce szerokie. Ja przez lornetkę teatralną, podarowaną mi przez dziadka, rozpatrywałem się w łożach i w parterze. Mistrz

Moniuszko zastukał batutą dyrektorską, na widowni zapadła cisza, i ze świetnej sceny popłynęły tony dźwięczne chóru dziewcząt:

Hej skowroneczek śpiewa,
Dzień się rozwieǳiewa!

Rolę Halki grała panna Kwiecińska, primadonna opery polskiej, rolę Jontka tenor Fileborn, Janusza Prohazka.

Wacek H., zwany przez kolegów żartobliwie „Marcholtem grubym a sprośnym“, kochał się idealnie w primadonnie opery, bił brawa zapamiętale, bisował i wywoływał bez końca artystów. Wszyscy też nasi towarzysze robili huczek niemały. Cały paradyz grzmiał oklaskami aż się mury trzęsły.

Pomimo chłodu jesiennego na górnych piętrach widowni Teatru wielkiego bywało duszno i gorąco, mianowicie też na paradyzie, do czego niemało przyczyniał się wielki żyrandol gazowy i mnóstwo lampjonów pomniejszych. To też w międzyaktach wychodziliśmy tłumnie na korytarze dla ochłodzenia się. Dzieci woźnych teatru obnosiły tam dzbany z wodą świeżą; kosze z jabłkami i pomarańczami, krążyły też po galerjach.

W antraktach następnych lornetowaliśmy strojne damy w łożach, a Felek H., który obok mnie siedział, wskazywał mi najśliczniejsze piękności warszawskie: dwie siostry Rubinsztajnowny, pannę Zbarbori, siostry Biernackie z Woli i in.

Po skończeniu przedstawienia, otuliwszy się w palta, rozeszliśmy się szybko do domów. Ja w moim pokoiku ostatnim ległem spać zaraz, aby wypocząć po dwóch wieczorach spędzonych w teatrze. Towarzysze moi zabierali się pomału do spoczynku, porządkując swoje rzeczy i ścieląc sobie: Olek na mojej kanapie w pokoju środkowym, a Romek w pierwszym na swoim sienniku świeżo wypchanym, w zacisznym kącie między piecem a ścianą wewnętrzną.

Rano stróż Teodor przyszedł wcześniej, napalił w piecach, nastawił samowar, przyniósł świeże bułki i chleb. Po śniadaniu koledzy poszli załatwić swoje interesy w kancelarji Szkoły głównej. Ja wstąpiłem do stryja, i z ojcem wyszedłem na miasto za sprawunkami.

Najprzód wstąpiliśmy do zakładu fotograficznego Sachowicza (brata artysty-malarza) zrobić zdjęcie pamiątkowe przyjazdu do Warszawy. Ojciec zasiadł w fotelu, ja stanąłem obok w mojej dawnej czamarcie polskiej. Kopje wykończone w parę dni potem wyszły znakomicie w tonach miękkich kontrastowych.

Następnie pojechaliśmy omnibusem na ulicę Długą odebrać od krawca nowy mundur studencki ciemnogrnatowy, z kołnierzem stojącym z podwójnym galonem srebrnym i takimż guzikami w jeden rząd. Z ulicy Długiej wróciliśmy dorożką na Chmielną do stryjostwa na obiad. Po południu z ojcem, stryjenką i siostrą Marynią pojechaliśmy do Wilanowa, dla zwie-

dzenia starożytnego pałacu króla Jana Sobieskiego. Jesienną porą park wilanowski, pusty i cichy, urok miał osobliwy dziwnej melancholji wspomnień świetnej przeszłości potężnej Rzeczypospolitej — wobec rozpaczliwego upadku ostatniego powstania i gnębiącego nas stanu wojennego. Ponury szum wichru po odwiecznych koronach olbrzymich topól nadwiślańskich, sadzonych ręką króla Jana III-go, zdawał się jęczeć pieśnią Dantejską:

„Nessun magior dolore che ricordarsi del tempo felice

„Nella miseria....“

A jako wielkie lzy krwawe padały gęsto liście czerwone na biedną naszą ziemię krwią przesiąkniętą....

Po powrocie z Wilanowa do miasta zostałem na herbacie u stryjostwa. Późnym wieczorem do jadalni, przez drzwi boczne od kuchni, wbiegła żywo młoda panna w szalu, szatynka lat około 18-tu, witając się:

— Dobry wieczór państwu!

— A panna Klotylda, witamy! odpowiada stryjenka, i chce nas zapoznać, ale nowoprzybyła przerywa:

— My dawni znajomi z panem sędzią i z panem Stanisławem, choć kopę lat niewidzianym. Pamięta pan, kiedy to poznaliśmy się dzieciakami w Zborowie na weselu cioci Karoliny Godeffroy, zbierając pod stołem cukry z wielkiej piramidy tortowej, która się zawaliła....

— Tak, a pani wyrwała mi z rąk i zjadła ślicznego aniołka z różowego cukru z białymi skrzydełkami, za co ja pogniewałem się, i przez cały wieczór nie chciałem z panią mówić ani bawić się — no ale teraz niech będzie zgoda na trzy lata!

— Cóż pan porabia w Warszawie, zapisał się pan do Szkoły głównej, widzę to po nowym mundurze. Ale zły z pana sąsiad, taki blizki przez sień tylko, a jeszcze nas nie odwiedził.

— Obiecuję poprawę, jeśli pani pozwoli.

— Nietylko pozwolę, ale zaraz zabieram pana do mamy. Jest u nas kilka osób, które czekają na mnie, i muszę zaraz wracać.

— Więc chodźmy, służę pani.....

Pożegnawszy się ze stryjostwem i ojcem na dobranoc, wyszliśmy przez przedpokój głównymi schodami na drugie piętro. Tam, ponad mieszkaniem parterowem stryja, zajmowała lokal z takim samym rozkładem pokoi pani S*, matka panny Klotyldy jedynaczki, wdowa, zamożna obywatelka z Krakowskiego.

W jadalni zastaliśmy jeszcze przy herbacie całe towarzystwo, złożone z kilku panów i młodych pięknych pań.

— Przyprawiam mamie naszego sąsiada z oficyny, przedstawiła mię panna, studenta wydziału.....

— Przyrodniczego, dokończyłem, witając gospodynię domu i jej gości.

Towarzystwo całe przeszło wkrótce do ładnego salonu rzęsiście oświetlonego. Trzech panów z starszą panią S*, zasiadło do preferansa przy zielonym stoliku. Ja, jako niegrający i niepalący, zabawiałem młode damy. Przy pożegnaniu otrzymałem zaproszenie od gospodyni do częstych odwiedzin, jako dawny znajomy i bliski sąsiad. Dla skrócenia drogi zaraz też przez kuchnię i sień boczną przeszedłem do mego mieszkania, gdzie już zastałem obu kolegów zabierających się do nocnego spoczynku; ja też poszedłem za ich przykładem.

Nazajutrz wcześniej zbiegłem na śniadanie do stryjostwa, aby dzień cały przepędzić z ojcem, który niezadługo musiał już jechać do domu.

Ułożyliśmy się, abym wywdzięczając się stryjowi Marcelemu za mieszkanie bezpłatne, pomagał mu w prowadzeniu ksiąg ludności domu, co wymagało wówczas wielkiej dokładności i formalistyki wobec surowych przepisów stanu wojennego. Roboty z tem zresztą było niewiele, albowiem w domu stryja były przeważnie duże lokale, zajmowane stale przez ludzi rozmaitych. I tak: na parterze od frontu, naprzeciwko stryja po drugiej stronie bramy, mieszkała pani Dembowska, obywatelka ziemska z Lubelskiego ze wsi Zahajki, z córką i synem Czesławem. Na I piętrze nad stryjem mieszkał książe Sapięha obywatel z Wołynia, po drugiej stronie szambelan Karski obywatel z Podlasia. Na II piętrze nad stryjem pani Siemońska obywatelka z Krakowskiego z córką Klotyldą, znajome które już odwiedziłem; naprzeciw nich po drugiej stronie państwo Puhałowie z dziećmi z Mazowsza. W oficynie prawej murywanej podemną na piętrze i na parterze, mieszkania mniejsze, złożone z dwóch pokoi z kuchniami i przedpokojami, zajmowali urzędnicy biurowi. Nakoniec oficynę lewą drewnianą piętrową zamieszkiwał stolarz Ciszewski z rodziną i czeladzią, z warsztatem na parterze. Stajnia i wozownia, przy ogrodzie w głębi podwórza, należały do księcia Sapięhy, który trzymał parę koni cugowych i powóz. U tych lokatorów stałych i długoletnich, jedynie służba zmieniała się od czasu do czasu, lub ktoś z państwa wyjeżdżał na wieś albo powracał, co trzeba było w księdze odnotować i przez stróża w biurze cyrkulowem zameldować przy pomocy odpowiednich kartek drukowanych.

Po obiedzie poszliśmy z ojcem na miasto za sprawunkami i na przechadzkę nad Wisłę, dla obejrzenia mostu żelaznego Kierbedzia. Powróciwszy do stryjostwa, zastaliśmy tam mego brata stryjecznego Zdzisława Czarnowskiego, który koleją przyjechał z Kątów, majątku swego w powiecie Gostyńskim. Matka Zdzisława a moja stryjenka Ignacowa, z córkami, przybyły też wczoraj z nim razem z letniego pobytu na wsi do Warszawy.

Zdzisław, żegnając stryjostwo Marcelich, prosił ojca i mnie, abyśmy odwiedzili jego matkę, co też ojciec tem chętniej uczynił, że niezadługo już miał do domu wyjechać. Zaraz ze Zdzi-

sławem wybraliśmy się na pobliską ulicę Warecką, przy której stryjenka Ignacowa zajmowała obszerne mieszkanie frontowe na parterze, w drugim domu od rogu Nowego Świata po lewej stronie. Naprzeciwko po drugiej stronie ulicy ciągnął się mur niewysoki, wzdłuż dużego ogrodu i podwórza domu, którego front wychodził na Nowy Świat. Tym sposobem pomimo wąskości ulicy Wareckiej, okna mieszkania stryjenki miały dużo światła i widok otwarty na piękne drzewa z przeciwka. Podwórze domu było całe wyasfaltowane i ozdobione fontanną z roślinami wodnymi. Do mieszkania stryjenki wchodziło się z bramy na lewo. Duży salon, gustownie umeblowany, miał trzy okna ocienione kwiatami pokojowymi. Chodowały je starannie córki stryjenki: najstarsza dorastająca Olcia, średnia Marynia, i dwie młodsze Felcia i Tosia czyli Teodozja. Wszystkie chodziły na renomowaną pensję pani Guerin, na pobliską ulicę Mazowiecką. Stryjenka, po śmierci stryja Ignacego, przeniosła się z majątku swego ze wsi na stałe do Warszawy dla kształcenia córek. Dobra Kąty z kilkoma folwarkami obiał na siebie w spadku najstarszy syn Zdzisław, który od części przypadającej na matkę i siostry wypłacał odpowiedni procent. Brata Władysława Zdzisław wcześniej spłacił całkowicie. Władek, ożeniwszy się, nabył wieś Przysuchę w Opoczyńskim; jednakże przez nieumiejętne gospodarstwo i trudności finansowe, majątek ów później stracił, mimo pomocy ze strony brata starszego.

Zdzisław podówczas dwudziestokilkuletni młodzieniec, gospodarz dobry i bardzo pracowity, przy ciągłej pomocy prawniczej i finansowej stryja Marceliego, spłacał stopniowo długi hipoteczne i pomnażał swój piękny majątek rodowy. Ułatwiło mu to położenie bardzo korzystne w dobrej glebie w Gostyńskim, w sąsiedztwie cukrowni Model i innych, do których stałe i wielkie dostawy buraków przynosiły znaczny dochód, obok innych wytworów rolnych. Także obfite kopalnie torfu w Kątach wyzyskiwane umiejętnie rentowały się bardzo dobrze.

Przy pożegnaniu z siostrami i ze stryjenką Ignacową otrzymałem zaproszenie do częstszych odwiedzin, mianowicie na zebrania wieczorne w niedzielę, z czego też z nadchodzącą zimą nie omieszkałem korzystać. Zdzisław również zapraszał mnie do odwiedzenia go w Kątach, na jego gospodarstwie. Obiecałem mu uczynić to w czasie wolnym ferij świątecznych. Po załatwieniu interesów w Warszawie, jako gorliwy gospodarz, powrócił on też zaraz na wieś do siebie.

Po wieczornej herbacie u stryjostwa Marcelich w towarzystwie ojca, który miał wkrótce już wracać do domu, udałem się wcześniej na spoczynek, aby wstać nazajutrz rano o świcie. Pierwsze bowiem wykłady fizyki ogłosił profesor Pęczarski na godzinę poranne od 8 do 9, a botaniki profesor Jerzy Aleksandrowicz od 11 do 12-tej w południe.

Z mieszkania mego na Chmielnej ulicy do Pałacu Kaźmierskiego na wykłady zwykłym krokiem szedłem około 15 minut, a nawet krócej krokiem przyśpieszonym. Chodniki na ulicy Nowy Świat wyłożone były podówczas wąskim pasem płytami szarego marmuru chęcińskiego, a po brzegach przy ściekach i przy murach domów zabrukowane kamieniami polnemi, wpośród których porastała zielona trawa. W kamienicach, przeważnie dwupiętrowych, na całym Nowym Świecie nie było podówczas na parterze sklepów, tylko zwykłe mieszkania, a ruch pieszych był tam niewielki. Sklepy liczniejsze i okazałsze zaczynały się dopiero na Krakowskim Przedmieściu od pomnika Kopernika i dalej.

Przedmioty I-go kursu sekcji przyrodniczej wydziału fizyko-matematycznego w Szkole głównej obowiązywały także wszystkich studentów wydziału lekarskiego i farmaceutów, a mianowicie: fizyka, chemja, mineralogia, botanika i zoologia. Pierwszy kurs medyków i farmaków był bardzo liczny, a razem z przyrodnikami obejmował paręset słuchaczy. Wobec tego prof. Pęczarski miewał wykłady fizyki w sali głównej czyli auli uniwersyteckiej, mieszczącej się na parterze lewego pawilonu gmachów Szkoły głównej, położonego na tyłach pałaców książąt Uruskich i hrabiów Potockich, w sąsiedztwie kościoła i klasztoru Wizytek.

Aula owa była to sala obszerna, jasna, z wysokimi oknami. W głębi miała niszę półkolistą, z wielkim obrazem olejnym historycznym, przedstawiającym w naturalnej wielkości figurach, cesarza Aleksandra I-go ze swiątą wręczającego dnia 20 września 1817 roku akt fundacji pierwszego Uniwersytetu warszawskiego ówczesnemu rektorowi Szweykowskiemu w otoczeniu profesorów w togach granatowych. Poniżej obrazu, na podłodze nieco podwyższonej w rodzaju estrady, stała katedra profesora z pulpem, a za nią zwykła czarna tablica szkolna.

Profesor Pęczarski, podówczas w średnim wieku, niewysoki krępy, prowadził swój wykład fizyki żywo i płynnie, objaśniając go wmiarę potrzeby rysunkami kredowymi i wzorami algebraicznymi, oraz udatnemi doświadczeniami na przyrządach przynoszonych na każdy wykład z gabinetu fizycznego. Zalecony do studjów podręcznik „Fizyki“ Ganota, w przekładzie polskim z francuskiego z licznemi drzeworytami, nabyłem zaraz po pierwszym wykładzie w najbliższej księgarni Błaszковского, mieszczącej się obok uniwersytetu na parterze Szpitala świętego Rocha.

Po pierwszej porannej prelekcji fizyki od godziny 8 do 9 pozostało dwie godziny wolne do wykładu botaniki zapowiedzianego na godzinę 11-tą. By nie tracić czasu na próżno, pośpieszyłem do czytelnicy studenckiej w Bibliotece głównej. Księgozbiór ten, największy w Królestwie, pod zarządkiem profesora bibliografji Karola Estreicher'a, mieścił się wówczas w pałacu

Kaźmirowskim. Do czytelni wchodziło się przez podjazd frontowy z arkadami i duży przedsionek, do wielkiej sali parterowej, o czterech potężnych filarach podpierających plafon. Między niemi ustawione były długie stoły czarne, z szeregami stołków dla czytających. Urzędnik dyżurny, wydający książki i przyjmujący kartki zamówień, niemłody uprzejmy człowiek, miał osobny stolik pod ścianą z księgą zapisów i katalogami podręcznymi. Wielkie wysokie okna sali wychodziły na zadrzewiony taras z widokiem ku Wiśle. Zapisalem kilka dzieł przyrodniczych, a nim je przyniesiono wziąłem do przejrzania jeden z atlasów podręcznych. W godzinę potem wyszedłem zawczasu by się rozpatrzyć w rozkładzie gmachów uniwersyteckich.

Po obu stronach głównego korpusu Pałacu Kaźmirowskiego, mieszczącego Bibliotekę, w jednej z nim linii rozciągają się tam dwa pawilony piętrowe. Prawy zajmował poprzednio margrabia Wielopolski jako dyrektor Komisji oświecenia, po nim zaś kurator okręgu naukowego warszawskiego Witte. Lewy pawilon mieścił gabinety fizyczne, mineralogiczne i geologiczne.

Przed frontem Pałacu Kaźmirowskiego rozciągał się duży wirydarz owalny, z klombami i wodotryskiem wpośrodku, aż do głównej bramy wjazdowej od ulicy Krakowskie przedmieście*). Po obu stronach owego wirydarza stały dwa pawilony piętrowe, równoległe do siebie, a prostopadłe do pałacu głównego. W pawilonie północnym (od strony klasztoru Wizytek) mieściły się mieszkania urzędników uniwersyteckich. Zaś w pawilonie przeciwnym czyli południowym na parterze było biuro Komitetu cenzury, a na piętrze także mieszkania urzędnicze.

Za tymże pawilonem, oddzielonym ładnym skwerem z klombami, ciągnął się duży gmach piętrowy, z szerokimi oknami weneckimi, równoległy do ulicy Obożnej. Tu mieściły się liczne audytorja wszystkich wydziałów, kancelarje uniwersyteckie Szkoły głównej, biuro rektora Mianowskiego, czytelnia profesorów oraz niektóre pomniejsze pracownie i gabinety przyrodnicze, botaniczny i inne.

Przy wielkich schodach o dwóch kondygnacjach szerokich, koło przedsionka, było małe mieszkanie portjera, w którym jego żona przyrządzała dla studentów herbatę, kawę i rozmaite przekąski.

Naprzeciwko tego głównego gmachu wykładowego, poza dużym skwerem zadrzewionym, między ulicą Obożną a bramą wjazdową wielki pawilon piętrowy mieścił bogaty gabinet zoologiczny, pracownię zootomiczną, audytorjum zoologii i anatomji porównawczej. Na parterze pod owe czasy, w dużej sali środkowej z dobrym światłem, stały rzędami liczne odlewy

*) Na wirydarzu owym wzniesiono później nowy wspaniały gmach Biblioteki uniwersyteckiej.

gipsowe posągów klasycznych, oraz popiersia sławnych mężów greckich i rzymskich, po zwiniętej niedawno Szkole sztuk pięknych.

Po drugiej stronie głównej bramy wjazdowej, podobny do poprzedniego gmach piętrowy, od strony kościoła Wizytek, obejmował audytorja i aulę uniwersytecką, w której właśnie rozpoczęły się wykłady fizyki profesora Pęczarskiego, na jakie zacząłem uczęszczać.

Wszystkie te gmachy i pawilony Pałacu Kaźmirowskiego, ze skwerami i dziedzińcami je otaczającymi, zajmują wielki czworobok nieregularny, ograniczony od zachodu ulicą Krakowskie Przedmieście, od południa ulicą Obożną, od wschodu Browarną, od północy ulicą Gęsią i kościołem Wizytek. Od strony Wisły czyli od ulicy Browarnej wznoszą się tam spadziste terasy bujnie zadrzewione. Od strony Krakowskiego Przedmieścia po jednej stronie wjazdu na dziedzińiec uniwersytecki, obok kościoła Wizytek, zajmują tu cały wielki narożnik wspomniane już pałace hr. Potockich i książąt Uruskich (później Czetwertyńskich). Po drugiej stronie wjazdu szpital św. Rocha i kilka starych kamienic aż do ulicy Obożnej; Cała owa wielka grupa zabudowań Pałacu Kaźmirowskiego i gmachów sąsiednich przedstawia widok wielce malowniczy, urozmaicony, i stanowi niezwykle piękną ozdobę wspaniałej perspektywy Krakowskiego Przedmieścia, poczynając od pomnika Kopernika aż do Placu Saskiego.*)

Po obejściu i obejrzeniu wszystkich zabudowań Szkoły głównej, o godzinie 11-ej w Pawilonie wykładowym posłyszałem donośny odgłos dzwonka, i pośpieszyłem tam zaraz na pierwszą prelekcję botaniki. W najobszerniejszej sali w korytarzu pierwszego piętra zastałem już zebranych licznych słuchaczy. Jeden z kolegów w drugiej ławie zrobił mi miejsce obok siebie. Wkrótce wszedł też na katedrę profesor Jerzy Aleksandrowicz, dyrektor ogrodu botanicznego. Za nim pedel wniósł i położył na pulcie katedry pęk świeżych roślin, mających służyć do objaśnienia wstępu do morfologii. W końcu prelekcji profesor zalecił studentom podręcznik francuski Botaniki Payer'a, jako obficie i dokładnie ilustrowany.

Kolega, który przy wejściu zrobił mi miejsce obok siebie w drugiej ławce, miał właśnie w rękę zaleconą nam Botanikę Payera w oryginale francuskim. Prosiłem o pozwolenie przejrzenia jej, i zapoznałem się z moim sąsiadem. Był to kolega Aleksander Wajnberg, który zapytał mię czy znam język fran-

*) Opisane powyżej gmachy główne uniwersyteckie Pałacu Kaźmirowskiego oznaczone są wyraźnie na dawnym planie Warszawy z roku 1878, wydanym przez W. Kolberga, z podaniem geograficznej szerokości Obserwatorjum astronomicznego: $52^{\circ} 13' 5''$ i długości od Paryża: $18^{\circ} 41' 25''$, oraz wysokości nad poziom morza Obserwatorjum astronomicznego stóp 367,6, a nad poziom Wisły stóp 150.

cuski, i czy nie pomógłbym mu w przekładzie owego podręcznika na polski? Zgodziłem się chętnie, i niezadługo kolega W. zaczął wydawać litografowany Kurs Botaniki Payera, z ładnymi rysunkami według oryginału. Arkusze pojedyncze, drogą prenumeraty po 10 groszy, nabywali koledzy w znacznej ilości egzemplarzy, tak że cały koszt wydania został pokryty w zupełności. Kolega Aleksander Wajnberg zajmował się głównie chemią organiczną, miał w domu całe laboratorium, w czym dopomagał mu z zamiłowaniem jego ojciec doktor medycyny. Korzystając z zaproszenia odwiedzałem w domu kolegę W., i ofiarowałem mu z mego zbioru niektóre minerały z okolic kieleckich.

Po pierwszej prelekcji botaniki pośpieszyłem na Chmielną ulicę do stryjostwa na obiad, gdyż ojciec miał już nazajutrz jechać z powrotem do domu z powodu kończącego się urlopu. Po południu poszliśmy z ojcem na miasto porobić niektóre sprawunki domowe dla mamy i rodzeństwa; wstąpiliśmy też na ulicę Warecką do stryjenki Ignacowej na pożegnanie. Po małej przechadzce w Aleje Belwederskie, powróciliśmy na herbatę wieczorną do stryja Marceliego, by tam razem przepędzić ostatni wieczór.

Nazajutrz rano, po wczesnem śniadaniu, o 8-ej godzinie odprowadziliśmy ze stryjem Marcelim ojca na Plac Warecki na stację pocztową, skąd podówczas wyjeżdżały dyliżanse pocztowe czyli tak zwane kurjerki, na trakt radomski. Wkrótce pocztyljon dał sygnał trąbką, podróżni zajęli swoje miejsca. I my pożegnaliśmy się serdecznie z ojcem, który usadowiwszy się wewnątrz karety, wyruszył w drogę.

Dzień październikowy był pogodny choć chłodny, przymrozek poranny ścinał twardo ziemię. Prosto z poczty stryj udał się do swego biura do Prokuratorji na ulicę Leszno; ja pośpieszyłem na pierwsze prelekcje mineralogji i zoologji na ten dzień ogłoszone.

Profesor Karol Jurkiewicz, człowiek w średnim wieku, rozpoczął wykłady swoje w godzinach porannych, w największem audytorjum gmachu głównego. Przyniósł z sobą piękne kryształy naturalne i typowe okazy minerałów z gabinetów uniwersyteckich i z własnego zbioru prywatnego bardzo bogatego i doborowego.

Prelekcje zoologji przed południem miewał profesor August Wrześniowski w sali obok gabinetu zoologicznego. W wykładach swych uwzględniał szeroko anatomję porównawczą i fizjologję ogólną wszystkich grup zwierzęcych. Dla objaśnienia wykładu przedstawiał oprócz okazów osteologicznych i gabinetowych także piękne ryciny kolorowane atlasów Cuvierowskich i innych. Po za godzinami wykładowemi pracował dużo profesor Wrześniowski w laboratorium osteologicznem ze swym

uczniem, bardzo zamiłowanym w tych studjach, Antonim Słosarskim. Ja też złożyłem w pracowni osteologicznej kości kopalne znalezione w czasie moich wycieczek do Ojcowa z jaskini Łokietkowej, która bardzo w nie obfituje, a mianowicie wielką zuchwę niedźwiedzia jaskiniowego (*ursus spelaeus*) z pełnem uzębieniem i inne. Zapoznałem się bliżej z kolegą Słosarskim i profesorem Wrześniowskim i pomagałem im stale w preparowaniu skieletoń, czaszek i t. p. Korzystałem z ich wskazówek naukowych specjalnych i robiłem częste studia w gabinecie zoologicznym, bardzo bogatym już wówczas.

Znakomity ornitolog profesor Taczanowski był kustoszem owego gabinetu, i niemal przyczynił się do jego uporządkowania; udzielał też chętnie wszelkich objaśnień studentom.

Następnego dnia profesor Dudrewicz rozpoczął wykłady chemji mineralnej w Pałacu Staszycza koło Kopernika, w wielkiej sali głównej na I piętrze. Przed tem mieściła się tam Akademia medyczna przekształcona na wydział lekarski Szkoły głównej. Ponieważ chemja obowiązywała wszystkich studentów I-go kursu przyrodników, medyków i farmaceutów, przeto audytorjum jej było bardzo liczne. Pod wielkimi oknami frontowemi ogromnej sali owej stała katedra, a przed nią długi stół komodowy, z półkami u dołu, zajmujący całą szerokość sali. Na nim laborant ustawiał przyrządy do doświadczeń chemicznych z lampkami spirytusowemi, mnóstwo naczyń szklanych i porcelanowych, oraz całe szeregi epruwetek dla przedstawienia reakcji chemicznych i t. p. Wykłady profesora Dudrewicza były bardzo ożywione i sprawnie demonstrowane. Słuchaczów też miał on zawsze pełną salę.

Na tych wykładach wspólnych zapoznałem się bliżej z wielu kolegami z wydziału lekarskiego, później znakomitymi doktorami medycyny: Teodorem Duninem, Konradem Dobrskim, aptekarzem Mutniańskim, z kolegą Milicerem z sekcji chemicznej, i wielu innymi towarzyszami studjów uniwersyteckich.

Przedmioty obowiązkowe sekcji przyrodniczo-chemicznej wydziału matematyczno-fizycznego: fizyka, chemja, mineralogia, botanika i zoologia, wykładane po parę godzin tygodniowo, pozostawiały jeszcze dużo czasu wolnego. Wobec tego uczęszczałem też na wiele innych przedmiotów przyrodniczo-matematycznych obowiązujących dopiero na kursie II-gim, czyli w drugim roku. A mianowicie słuchałem stale wykładów kosmografji profesora Baranowskiego dyrektora gwiazdźniarni warszawskiej podówczas, algiebrzy wyższej profesora Babczyńskiego, geometrii analitycznej profesora Zajączkowskiego. Wszystkie te wykłady odbywały się w największej sali audytorjum wydziału matematyczno-fizycznego na I-em piętrze gmachu Szkoły głównej. Wykłady chemji organicznej profesora Langerera, na które też chodziłem, odbywały się w tej samej sali głównej Pałacu Staszycza, co prelekcje chemji mineralnej

Na wykłady anatomji znakomitego prof. Hirszfelda chodziłem do amfiteatru w dziedzińcu Szpitala dzieciątka Jezus od strony ulicy Zgody. Audytorjum to w rotundzie murowanej dobrze oświetlonej dużemi oknami, miało ławki ustawione w półkole, wznoszące się amfiteatralnie od środka sali ku sufitowi. W miejscu wolnem wpośrodku sali był stół dla preparatów anatomicznych, na którym profesor Hirszfeld, w fartuchu ceratowym i zarękawkach, prowadził swój wykład bardzo żywo i świetnie. Obok audytorjum była trupiarnia szpitala i sale prosektojum, gdzie posługacze i prosektorowie przygotowywali preparaty potrzebne do wykładu, a studenci medycyny odbywali ćwiczenia praktyczne i badania patologiczne. Na wykłady anatomji ogólnej liczni słuchacze medycyny i sekcji przyrodniczej śpieszyli zawczasu przed rozpoczęciem prelekcji, aby zasiąść w pierwszej ławie, i móc zobaczyć zbliska dokładnie drobne szczegóły preparatów demonstrowanych i objaśnianych z precyzją niezrównaną.

Pod owe czasy cieszyły się wielką wziętością wśród studentów wykłady filozofji profesora Struwego i historii rzymskiej prof. Plebańskiego, którzy obaj mieli mnóstwo słuchaczy ze wszystkich wydziałów, a głównie z filologiczno-historycznego i prawnego. Pomimo uczęszczania w pierwszym roku moich studjów uniwersyteckich na wykłady obu kursów I i II-go sekcji przyrodniczej, miałem jednak dość wolnego czasu, i chodziłem stale na prelekcje encyklopedji filozofji i historii filozofji prof. Struwego, oraz historii powszechnej (dziejów narodu rzymskiego) prof. Plebańskiego, odbywające się wobec mnóstwa słuchaczy ze wszystkich wydziałów w największym audytorjum auli uniwersyteckiej.

To też po każdym takim wykładzie rojno było na dziedzińcach starego Pałacu Kaźmirowskiego. Mnóstwo słuchaczy śpieszyło na swoje wykłady specjalne do innych audytorjów gmachu głównego. Inni przybywali z miasta lub dążyli pośpiesznie do Pałacu Staszyca, do amfiteatru anatomicznego w Szpitalu dzieciątka Jezus lub do klinik. Profesorowie też różnych wydziałów podążali na swe wykłady lub wychodzili po odbytych prelekcjach. A wśród tego ożywionego ruchu młodzieży i poważnych profesorów, górowała i ze czcią ogólną witana była postać dziwnie sympatyczna ukochanego rektora Józefa Mianowskiego. Wyprostowany, w długim czarnym burnusie, krokiem żywym szedł nasz rektor, z łagodnym dobrotliwym uśmiechem na miłym poważnym obliczu, z odkrytą głową i rozwianym siwym włosem, z kapeluszem w rękę pozdrawiając uprzejmie spotkanych. A głowy wszystkich chyliły się ze czcią szczerą jak przed ojcem dobrym i kochanym.

Trafnie też i serdecznie profesor Struwe, w mowie swej na zjeździe wychowawców b. Szkoły głównej w Warszawie,

6 czerwca 1903 r. w 40-tą rocznicę jej założenia, scharakteryzował postać jej rektora:*)

„Miała Szkoła główna, mówił sędziwy profesor, liczny zastęp wychowawców, miała wielu profesorów; każdy wydział miał swych dziekanów, ale wszyscyśmy mieli przez cały ciąg istnienia Szkoły głównej jednego tylko jedyne go Rektora — Mianowskiego.

„Jeżeli hasło zasadnicze, łączące wszystkich uczestników Szkoły głównej, tak wychowawców jak profesorów — hasło „Nauki“, dało się przeprowadzić bez przerwy przez cały czas istnienia tego ogniska oświaty krajowej, zawdzięczamy to przede wszystkim mądrości życiowej i wielkiemu taktowi naszego Rektora, oraz sumiennosci, z jaką spełniał trudne obowiązki swego odpowiedzialnego urzędu, wreszcie miłości jego serdecznej a rozumnej do powierzonej jego opiece młodzieży.

„Dzięki tymto wielkim, a niestety tak rzadkim zaletom, zjednał sobie owo powszechne zaufanie wychowawców i profesorów, które było niezbędnym warunkiem spokojnego rozwoju Szkoły głównej.

„Jego ówczesne przemówienia do młodzieży i profesorów, odsłaniają w sposób pokrzedający całą piękność i harmonię jego duszy wśród niespokojnego zgiełku czasu, i po dziś dzień mogą służyć za wzór rozumu pedagogicznego i prawdziwie ojcowskiego serca.“

Przechodząc często z prelekcij Krakowskiem Przedmieściem przyglądałem się nieraz bogatej księgarni Wendego i Sp, gdzie wystawiano liczne dzieła naukowe, atlasy i podręczniki uniwersyteckie. Między innymi zauważyłem tam i przejrzałem niemieckie podręczniki: Fizyki Müllera świetnie ilustrowanej, oraz Chemii Gorup-Bezanesa, w pięknym wydaniu Viwega w Brunświku. Były to dzieła jednotomowe ale duże i dość kosztowne, mimo to nie mogłem się oprzeć chęci ich nabycia. Nie będąc w stanie odrazu, kupiłem najprzód jedno, a w miesiąc później drugie, odejmując sobie niemal od ust część żywności i oszczędzając w wydatkach na ubranie. W dalszych miesiącach nabyłem jeszcze również piękne podręczniki niemieckie Botaniki i Zoologii.

Później, po rozpatrzeniu się w tak zwanych antykwiarniach warszawskich czyli księgarniach starych książek, nabyłem jeszcze parę cennych dzieł bardzo tanio. Kilka takich antykwiarni mieściło się przy uliczce zwanej Ordynackie (prowadzącej z Nowego Świata na Tamkę). Tam u żyda Rubinsztajna kupiłem stare wydanie genewskie „Oeuvres de Jean Jacques Rousseau“ w 29 tomach, za kilkanaście złotych polskich. Potem znów, u antykwarjusza Rozenwajna przy ulicy Mazowieckiej, za parę rubli naby-

*) Księga pamiątkowa zjazdu b. wychowawców b. Szkoły głównej warszawskiej w 40-tą rocznicę jej założenia. Warszawa, 1905, str. XIII i XIV.

łem encyklopedję nauk przyrodniczych p. t. „Dictionnaire des sciences naturelles“ w kilku tomach w 8-ce wielkiej, z pięknym Atlasem, złożonym z kilkudziesięciu tablic rycin kolorowanych, przedstawiających typowe zwierzęta, rośliny i minerały.

Prócz tego w godzinach wolnych między prelekcjami chodziłem do czytelni Biblioteki uniwersyteckiej robić zapiski z dzieł specjalnych i Atlasów Berghausa, Cuviera i t. p. Zaglądałem też często do gabinetów mineralogiczno-geologicznego i zoologicznego, a po przechadzkach w Aleje Ujazdowskie do cieplarni botanicznych przy Obserwatorium, gdzie starszy ogrodnik p. Cybulski udzielał chętnie objaśnień.

Podręczniki uniwersyteckie i dzieła przyrodnicze, z natury rzeczy muszą być suto ilustrowane a przeto kosztowne, więc mimo chęci trzeba było ograniczać się w ich nabywaniu, natomiast korzystać z Biblioteki uniwersyteckiej. Tem bardziej, że mimo taniości życia w Warszawie ówczesnej, moja pensja domowa była niewysoka. Ojciec złożył u stryja Marcelego odpowiednią kwotę, z której co miesiąc otrzymywałem po 133 złote czyli 20 rubli. Mieszkanie miałem bezpłatne, a także w niedziele i święta obiadałem u stryjostwa, i co wieczór bywałem tam na herbacie, o ile nie szedłem gdzieindziej lub u siebie nie pracowałem.

Koledzy moi bracia Newelscy kielczanie, stołowali się w małej taniej restauracji studenckiej przy ulicy Królewskiej w pobliżu Krakowskiego Przedmieścia; ja też tam z nimi chodziłem z początku. Zwykle obiady, złożone z zupy, sztuki mięsa i pieczeni z jarzyną, kosztowały tam po złp. 1½, a w abonamencie miesięcznym tylko po 40 groszy. Było to bardzo tanio, później bowiem w Warszawie za tę cenę można było mieć zaledwie jedną tylko porcję obiadową. Pranie bielizny było podówczas również tanie. Od koszuli dziennej krochmalonej płacono się 10 groszy, od chusteczki, ręcznika i t. p. po trzy grosze. Usługa przychodnia wspólnie z kolegami, którzy ze mną mieszkali, wypadła miesięcznie na jednego tylko po rublu. Drzewo opałowe było też niedrogie. Wielki kłoc na wozie parokonnym na placu Krasieńskich kosztował około 2 ruble, porąbanie w domu 4 złp. Tym sposobem, przy oszczędności w ubraniu, można było kupić od czasu do czasu dobre nowe dzieło i rozkoszować się teatrem na „jaskółce“ po złotówce na przedstawieniu arcydzieł Szekspira, albo opery w rodzaju „Fausta“ Gounoda, „Halki“ Moniuszki i t. p., wesołem towarzystwie kolegów.

Mimo owej taniości i łatwości życia, wśród mnogiej rzeszy młodzieży uniwersyteckiej, u mniej zasobnych studentów Szkoły głównej panowała bieda, nieraz bardzo dotkliwa. Jeden z moich kolegów gimnazjalnych, potem student filologii Walery Przyborski w swoich wspomnieniach*) pisze, iż koledzy „którzy

*) „Stara i młoda prasa“, Petersburg, 1897, wydanie Grendyszyńskiego, str. 4 — 5.

mieli z domu dochodu 15 rubli miesięcznie uchodzili za bogactwów, reszta nie mając żadnej pomocy żyła niby „ptaszkiwie leśni, którzy ani sieją ani orzą“. Dawanie lekcyj było główną podstawą bytu mizernego i nędznego. Jeden z kolegów np. udzielał korepetycje synowi bogatego kupca warszawskiego, i brał za to ogółem 4 ruble na miesiąc. Przytem dawano mu za każdą godzinę bilet, a jeżeli którego dnia nie przyszedł, strącano z pensji miesięcznej wartość owego biletu t. j. jakieś dwadzieścia kilka groszy. Był to wyzysk szkaradny! Niektórzy studenci kolorowali „Mapę Europy“ w księgarni Dzwonkowskiego przy ulicy Miodowej, po 15 groszy od egzemplarza, zarabiając dziennie po kilka złotych, i tak bardzo zadowoleni. Inni malowali nawet szyldy w fabryce Mintera, zarabiając po 2 złote od sztuki...“

Ja, dla zapracowania na kupno dzieł naukowych, retuszowałem kopje fotograficzne po 5 groszy od sztuki w zakładzie Starzyckiego i Spółki, na Krakowskim Przedmieściu, przy rogu ulicy Karowej (w domu na miejscu którego wzniesiono później wspaniały „Hotel Bristol“ naprzeciwko Hotelu europejskiego). Spólnikiem owego zakładu fotograficznego był nasz profesor algebry wyższej Tytus Babczyński z wydziału matematycznego, bardzo przyjacielski dla studentów swoich słuchaczy. W pogawędce z nami na korytarzu wspomniał raz profesor B., że potrzebuje współpracowników do retuszu i praktyki fotograficznej. W godzinach wolnych od wykładów przez parę miesięcy chodziłem tam pomagając w robotach przygotowania klisz (które w owe czasy oblewano namokro kolodjonem z solami) i obznajmiałem się ze sposobami zdjęć fotograficznych. Kopje do retuszu brałem zwykle do domu. Zakład i altana fotograficzna mieściły się w małej oficynie, w głębi długiego wąskiego dziedzińca nad spadzistym terasem, z którego roztaczał się szeroki widok na Wisłę. Na terasie wystawiano kopjoramy z kliszami. Zakład ten należał do tańszych, i miał klientelę przeważnie ze sfer ludowych pracujących, a przez to najwięcej zdjęć wykonywano tam w niedzielę. Studentom też profesor B., jako współwłaściciel, robił różne ułatwienia w wyplacie po cenach zniżonych za fotografie. Tam też fotografowałem się po raz pierwszy i otrzymałem sześć odbitek bezpłatnie za moją bezpłatną pracę i praktykę w zakładzie.

Dla wzajemnej pomocy w znalezieniu pracy i zarobku studenci żyli wówczas w ścisłych kółkach koleżeńskich, przeważnie gimnazjalnych, albo w grupach z bliżej znajomymi towarzyszami z ławy szkolnej.

Oprócz kółka Kielczan przyrodników i matematyków, zbierającego się przeważnie u kolegów moich Holewińskich — poznałem się też bliżej z kółkiem braci Newelskich Ignacego i Stanisława, dawnych kolegów moich kieleckich z pensjonatu Hillera. Rodzice ich posiadali majątek ziemski na Podlasiu,

niedaleko Warszawy, i co miesiąc przysyłali synom zapasy różnych wiktuałów wiejskich. Koledzy Newelscy, studenci wydziału prawnego, zajmowali obszerne mieszkanie w dużym domu przy ulicy Pańskiej, na dole od frontu. W sali jadalnej u nich stał długi stół, na którym z jednego końca zalegały stopy przeróżnych wiktuałów: bochenki różnego rodzaju chleba białego pytlowca i grubego razowca, wielkie strucle i placki słodkie, całe faski powidel śliwkowych, masła i ostrej bryndzy owczej, słoje z miodem i rozmaitemi konfiturami, butelki pełne soków owocowych; szynki wędzone, kielbasy i kiszki smakowite roboty domowej; stopy serów owczych, krowich i gomólek; wreszcie kosze owoców doborowych świeżych i suszonych, jabłek, gruszek, śliwek, orzechów włoskich, laskowych i t. p. Na drugim końcu stołu olbrzymi samowar, na wielkiej tacy mosiężnej, szumiął dzień i noc bez przerwy. Posługaczka stróżka domu od świtu rano do późnej nocy dolewała doń wody całemi konewkami i dosypywała węgla drzewnego. Koło samowara tego stało zawsze kilkadziesiąt szklanek na spodkach, z odpowiednią ilością łyżeczek, noży, widelców i talerzy. Gościnni gospodarze zapraszali licznych swych dawnych kolegów gimnazjalnych ze wszystkich wydziałów, a przeważnie z prawnego, do stałych odwiedzin. To też zbierało się tam codzień liczne grono młodzieży uniwersyteckiej. Toczyły się ożywione rozprawy społeczne i filozoficzne. Niektórzy odczytywali całe rozprawy własne lub tłumaczone z dzieł najznakomitszych myślicieli, socjologów, ekonomistów i prawników. Bywali tam koledzy przeważnie prawnicy: Silnicki Władysław, Szumański Wiktor, Czyński, Wikarski, filolog Tadeusz Włoszek, medyk Tryjarski Antoni i wielu innych. Zbierano się zwykle późnym wieczorem, po studjach i pracy całodziennej. Często po skończeniu teatru przed północą wpadały całe gromady bywalców paradyśu, sprawiając rzeź wśród szynek, kielbas, serów i wychylając niezliczone ilości szklanek herbaty. Nawet pod nieobecność gospodarzy, gdy ci szli w odwiedziny do swoich znajomych lub do teatru, odbywały się owe nieustanne zebrania i uczyły koleżeńskie. Albowiem u braci Newelskich w ich obszernej lokalu mieszkało zawsze paru kolegów, którzy zastępowali gospodarzy w honorach domu. Zdarzyło się niekiedy, gdy któremu z kolegów nie nadeszła z domu na czas pensyjka miesięczna, lub zaległa zapłata za lekcje udzielane biednym gimnazystom, to u Newelskich, w braku zwykłego obiadu lub kredytu w restauracyjce, pożywić się mogli dostatnio. Potem, gdy „przyplłynęła flota“ do kieszeni, wywzajemniali się, zapraszając do siebie na herbatkę studencką z bułkami i stosami gorących serdelków. Jako zamożniejsi bracia Nawelscy byli zawsze gotowi dopomagać w potrzebie kolegom mniej zasobnym, czy to w opłacie wpisu w terminie ostatnim, czy w nagłej pożyczce na słowo.

Na Chmielnej ulicy, naprzeciw mego mieszkania w wielkiej kamienicy dwupiętrowej Smolikowskiego, stał „Smolikow-

szczyzną" zwanej, zajmowała duży lokal na drugim piętrze cała kolońja studencka, wśród niej kółko braci Godlewskich Emila i Mściśława, kolegów moich kieleckich od I-szej klasy. Godlewscy wcześniej ukończyli gimnazjum i wyprzedzili mię o rok do Szkoły głównej, podobnie jak Newelscy, ponieważ ja z pensjonatu 4-klasowego Hillera, jako zbyt młody oddany zostałem przez ojca mego powtórnie do IV-tej klasy gimnazjum. W Warszawie lokale małe jedno i dwupokojowe zwykle były droższe niż wielkie. Dla tego bracia Godlewscy, z kilku swymi kolegami przyjaciółmi, najęli w Smolikowszczyźnie na drugim piętrze obszernie mieszkanie, złożone z pięciu dużych pokoi, z kuchnią i przedpokojem wspólnym, z którego troje drzwi prowadziło do wnętrza. Bracia Godlewscy, dwaj bracia Ornowscy, Stanisław Ostrowski i jeszcze paru innych kolegów, zajmowali po jednym pokoju, i płacili komorne właścicielowi domu przez jednego wybranego z pośród siebie skarbnika. Wspólny służący żonaty mieszkał w kuchni. Przedpokój był przechodni otwarty we dnie, zamykany tylko na noc. W dużym salonie było prawie pusto. Wielka otomana, stoliczek i parę taboretów stanowiły tam całe umeblowanie. Na ścianach wisiały skrzyżowane rapiry, floretty, maski druciane fechtunkowe, na oknach leżały hantle różnej wielkości, łyżwy rozmaite i t. p. Z sufitu spuszczało się kilka trapezów i drabinek sznurowych. Sala ta poświęcona była głównie gimnastyce, którą uprawiali gorliwie Godlewscy, ich towarzysze, a nawet koledzy i znajomi, którzy ich odwiedzali. Obok tego całe to kółko studenckie chodziło stale do zakładu gimnastyki i szermierstwa Majewskiego w ogromnej sali na Sewerynowie przy Aleksandrji (później nazwanej ulicą Kopernika). Majewski dzielny gimnastyk, wzrostu średniego, krępy szatyn dobrze zbudowany i barczysty, był znakomitym nauczycielem w swoim fachu i miał z całego miasta mnóstwo uczniów, z którymi prowadził ćwiczenia zbiorowe grupami po kilkunastu i po kilkudziesięciu. Ja zapisałem się też na ćwiczenia wieczorne gimnastyki razem z owym kółkiem kolegów, i chodziłem tam przez całą zimę przed herbatą. Szermierstwa zaniechałem, aby nie tracić zbyt wiele czasu, bo zresztą miałem już początki tej sztuki od wuja Bogdana z czasów wakacyjnych, jak również nieco wprawy w Kielcach u kolegów moich Holewińskich, zapalonych szermierzy.

Moja młoda sąsiadka z drugiego piętra w domu stryja, panna Klotylda, pewnego wieczoru przy herbacie zagadnęła mię o tańce. Przyznałem się, że sztuki tej nie uprawiałem dotąd wcale. Czasy żałoby narodowej i powstanie krajowe były przyczyną, że nikt o zabawach tenecznych już dawno nie myślał. Ale po całych latach ciszy i udręki, Warszawa powoli zaczynała marzyć o powrocie do życia bardziej normalnego. Jesienią i w adwencie tu i owdzie tworzyły się tak zwane komplety lekcji tańca po domach prywatnych, oraz u nauczycieli przeważnie baletmistrzów Teatru wielkiego. Sąsiadka moja tak wymownie

łomaczyła mi, że młody człowiek wchodzący w świat nie może obyć się bez zabawy i tańca, bez rozrywki po pracy, że właśnie w domu jej znajomych państwa Z* zbiera się komplet taneczny z wytrawnym nauczycielem, że wreszcie ona sama liczyła napewno na moje towarzystwo.... Wobec tak przekonujących wywodów zgodziłem się wziąć udział w tej szlachetnej nauce, która odbywać się miała tylko dwa razy w tygodniu wieczorami za cenę bardzo umiarkowaną. Jakoż w najbliższą niedzielę wstąpiłem do panny Klotyldy, i z nią oraz jej młodą przyjaciółką z sąsiedztwa, panną Julją L*, córką profesora języka francuskiego, udaliśmy się dorożką do państwa Z* na pierwszą lekcję. Zastaliśmy tam już sporo młodych uczennic i uczniów. Po prezentacji i powitaniu gospodarzy domu, nastąpiło zapoznanie z córką i dwoma synami gospodarzy, a także z nowymi koleżankami i kolegami, pośród których spotkałem też paru studentów z mojego wydziału. Wkrótce przybył nauczyciel i zaczął od pierwszych początków. Na lekcjach następnych szła nauka tańców wirowych: walca, polki, galopady, wreszcie mazura, menueta, kadryla i lansjera. Co do mnie tylko te trzy ostatnie tańce uprawiałem nieco staranniej; wirowe abnegowałem, ku wielkiemu zgorzeniu naszego tancmistrza i panny Klotyldy, której za to służyłem stale na vis-a-vis w kadrylach i lansjerach, z jej piękną przyjaciółką Juljetą.

Wkrótce też złożyłem pierwszą wizytę mojej młodej tancerce i jej ojcu starszukowi, owdowiałemu francuzowi, który spolonizował się i był nauczycielem w szkołach średnich warszawskich. Panna Julja, ośmnaastoletnia szatynka ciemna czarnooka, wzrostu średniego, tryskająca zdrowiem i wesołym humorem, była zawsze bardzo miłą towarzyszką. Miała drugą siostrę Justynę, szesnastoletnią brunetkę, nieco niższą, o pięknej białomатовej cerze i ślicznych oczach gazelli. Obie siostry były muzykalne, śpiewały wesołe piosenki francuzkie i polskie z akompaniamentem pianina. Udzielały też dość popłatnych lekcji muzyki i języka francuzkiego. Ojciec nazywał je z francuska Żiustin i Żiuli, i był przez obie córki całkiem zawojowany. Panna Justyna, pominąwszy pierwsze początki, bywała później na wszystkich lekcjach tańca. Profesor L* mieszkał w sąsiedztwie domu stryja mojego, po prawej stronie ulicy Chmielnej idąc od Nowego Świata. Zajmował skromne mieszkanie w oficynie na parterze, złożone z przedpokoju, kuchni i dwóch obszernych pokoi, umeblowanych bardzo gustownie, pełnych roślin kwitnących chodowanych przez młode gosposie. Później wprowadziłem tam i przedstawiłem jednego z moich kolegów Jana Maurycego Kamińskiego. Jako blisko mieszkający, odwiedzaliśmy często nasze sąsiadki, zwykle późnym wieczorem, po skończonej pracy codziennej i po herbacie u siebie. Znosiłem im nowe nuty muzyczne do śpiewu i świeże kwiaty ich ulubione.

Odwiedzałem też niekiedy stryjenkę Ignacową, do której wieczorami, zwykle w niedzielę, przychodziły bliżej znajome ko-

leżanki jej córek. Od czasu do czasu także ich rodzice: p. Bajkowski radca dyrekcji warszawskiego Towarzystwa kredytowego ziemskiego z żoną, córką i kuzynem; p. Sygetyński redaktor „Tygodnika rolniczego“ z żoną, córką i dwoma synami; p. Matecki dyrektor gimnazjum z żoną, córką i synem Leonem; p. Bogucki architekt, wdowiec, z córkami i siostrą swoją. Synowie stryjenki Zdzisław i Władysław, którzy zaglądali, choć rzadko, ze wsi do Warszawy, dla załatwienia interesów i sprawunków, przy prowadzali też swoich młodych przyjaciół.

Młodzież zabawiała się zwykle w gry towarzyskie, co dawało sposobność do deklamacji arcydzieł poezji polskiej, śpiewu i gry na fortepianie. Później w karnawale bywały u stryjenki, przy liczniejszych zebraniach, skromne „herbatki tańczące“ z muzyką fortepianową. Podobne zabawy odbywały się też, zwykle kolejno w domach znajomych stryjenki, zwykle z okazji imienin członków rodziny starszych i młodszych, przyjazdu krewnych ze wsi i t. p.

U stryjostwa Marcelich zebrania towarzyskie wieczorowe bywały mniej liczne i cichsze, bez tańców. Stryj Marceli bowiem od czasu śmierci swego syna Kocia (Konstantego) ukochanego jedynaka, ucznia szkół uzdolnionego, posmutniał bardzo, nie lubił zebrzań zbyt gwarnych u siebie i mało gdzie bywał. Stryjenka tylko Marcelowa z córką swą Marynią odwiedzały stryjenkę Ignacową i inne domy znajome. Między innymi panią Wiśniewską, obywatelkę ze wsi, mieszkającą w Warszawie przy ulicy Mazowieckiej, z córką i synem dla kształcenia dzieci; także państwa Grzybowskich, których syn Karol był na wydziale prawa i in. Do stryjostwa Marcelich przyjeżdżali od czasu do czasu krewni ze wsi: brat stryjenki wuj Wiktor, właściciel wsi Waliszewa w Gostyńskim, z żoną ciotką Emilją, z synami Stasiem i Waciem, oraz córką Micią (Emilcią) która była na pensji w Warszawie. Także wuj Pruski, właściciel wsi Prusy w Rawskim, którego córka Marynia była też w pensjonacie w Warszawie, a syn chodził do gimnazjum. Prócz tego bywali u stryja Marcelego jego kolega biurowy radca Prokuratorji p. Mikoszewski, p. Matecki dawny przyjaciel dyrektor gimnazjum przy ulicy Długiej. Wreszcie kilku młodych panów, pań i panien znajomych, między niemi p. Okolski nauczyciel muzyki córki stryjostwa Maryni, panna Szostakowska jej nauczycielka domowa, dwie siostry starszki dawne lokatorki stryja. Bywał też czasem mój brat stryjeczny Edward urzędnik kolei warszawsko-wiedeńskiej z siostrami swemi Scholastyką, Anną i Lodzią, których rodzice stryjostwo Franciszkostwo przebywali przeważnie na wsi u syna swego starszego Sylwina. Jego brat najstarszy Hieronim, znakomity szachista i biegły matematyk (raniony w ostatniem powstaniu w szyję piką kozacką) musiał emigrować i przebywał podówczas w Paryżu, a później w Krakowie jako urzędnik administracji miejskiej <http://www.1918.org.pl>

Siostra stryja Marcelego Józefa Żochowska, wdowa już niemłoda wówczas, mieszkająca w miasteczku Wiskitkach z córką Anielą i synem Stanisławem, przyjeżdżała od czasu do czasu do Warszawy dla odwiedzenia rodziny i stawała u stryjostwa.

Stryj Marceli, jako najstarszy i najzamożniejszy z całej rodziny ojca mego, opiekował się zawsze jej młodszą generacją, udzielał chętnie rady i wszelkiej pomocy w kształceniu się, w gospodarstwie, wynajdywaniu pracy i zajęcia, wogóle był dla nas takim patriarchą czcigodnym w Warszawie, jak dziadek Wincenty Piatkowski ojciec matki mojej wpośród swojej rodziny w Krakowskiem.

Siostra stryja Marcelego młodsza, Marja Obrębska, żona urzędnika rządu gubernialnego w Warszawie, zmarła na prowincji u swych krewnych Gniazdowskich w r. 1875. Druga siostra stryja, starsza od poprzedniej, Antonina Wieszczycka mieszkała we wsi Mazowsze, dzierżawionej przez jej męża Norberta, i nie bywała w Warszawie. Przyjeżdżała tam tylko czasami jej córka Walentyna Gniazdowska, ze swym mężem i siostrą Olimpią. Brat ich najstarszy Mikołaj Wieszczycki, obywatel ziemski, gospodarował we wsi Ząszew w Łęczyckiem; młodszy odeń brat Leon został skazany po Powstaniu na zesłanie na Sybir.

Najczęściej przyjeżdżał do Warszawy do stryjostwa Marcelich brat rodzony stryjenki Wiktor Czarnowski, ze swoich dóbr Waliszewa w Gostyńskiem, położonych w pobliżu wsi Kąty. Drugi brat stryjenki Marcelowej Bronisław Czarnowski, mieszkający stale w Krakowie (po sprzedaniu swego majątku wsi Chołdowca pod Szkalbmierzem w Krakowskiem) przyjeżdżał też niekiedy do Warszawy w odwiedziny do krewnych. Trzeci brat stryjenki Marcelowej Józef Czarnowski mieszkał stale w Krakowie, z synami swymi Kaziem i Stasiem (moim imiennikiem); jako emigrant polityczny nie mógł bywać wcale w Królestwie. Odwiedzałem go dawniej, jeżdżąc do Krakowa podczas moich wakacyj szkolnych.

W Warszawie więc, wkrótce po mojem wstąpieniu do Szkoły głównej, poznałem prawie całą rodzinę ojca mego, która zamieszkiwała stale przeważnie w naszej starej stolicy oraz na Mazowszu.

Wpośród natłoku nowych wrażeń stosunków koleżeńskich i rodzinno-towarzyskich — ostoją wypoczynku i pracy był dla mnie zwykle zaciszny mój pokój w mieszkaniu studenckiem w domu stryja Marcelego, mojego czcigodnego opiekuna. Jedyny zbytek na jaki sobie pozwoliłem podówczas, prócz nowych dzieł przyrodniczych ilustrowanych, był zakup ładnej lampy naftowej, w kształcie amfory starogreckiej z ciemnego brązu, z kloszem ze szkła mlecznego. Przy jej łagodnem świetle, po napaleniu w dużym piecu kaflowym, gdy jasne płomienie szczap sosnowych promieniowały ciepłem wokół, puszczałem wodze myślom

wdał ku stronom krakowskim, pod dach rodzicielski w małym miasteczku Chęcinach. I widziałem tam również w cichej komnacie przy jasnej lampie: ojca przy pracy nad aktami sądowymi, i drogą matkę zajętą młodszym rodzeństwem mojem. I brałem ćwiartkę papieru... a wkrótce długi list, włożony w kopertę z marką pocztową, leciał pierwszym pociągiem kolejowym w Krakowskie strony moje. Niezadługo też odbierałem w odpowiedzi list z domu. Przed świętami Bożego narodzenia mama do listu swego włożyła opłatek, a wszyscy dołączyli doń swoje życzenia i wiadomości o całej naszej rodzinie. I tak zawsze ta nie serdeczna wiążąca mię z domem rodzicielskim snuła się nieprzerwanie w listach miłych a częstych.

Słusznie bo mówi St. Kozłowski w jednym ze swych artykułów o „Rodzinie w Polsce“ (w tygodniku „Świat“ w nr. 49 z r. 1907), że „z biegiem lat ustrój rodziny u nas potężniał, aż urósł w narodową twierdzę; podczas klęsk i doświadczeń, które tak obficie zwały się na Polskę w stuletnim okresie porozbiorowym — ostoją cnoty, symbolem spójni i jedyną w utrapieniu ucieczką stała się dla narodu polskiego — rodzina!“

Wśród zimy mroźnej trudno mi było na święta Bożego narodzenia dostać się do rodziców; więc ferie zimowe i wigilię spędziłem w Warszawie u stryjostwa Marcelich. Wieczera wigilijna odbyła się według dawnego zwyczaju w kółku rodzinnem w cztery osoby — z udziałem stryja, stryjenki, siostry Maryni i mnie. Jak zwykle łamano się opłatkiem, i tym także przysłanym mi w liście od rodziców, i składaliśmy sobie wzajem życzenia lepszych czasów... Potem podano tradycyjne potrawy: zupełną rybą, karpia na szaro, okonia z kapustą i grzybami, karasie smażone, kompot z owoców suszonych, wreszcie mak biały tarty z biszkoptami. Na deser: owoce świeże, bakalje włoskie, orzechy krajowe i wyborną herbatę, a przy wieczery węgierski tokaj łagodny. Tylko choinki nie było, a stryj zawsze poważny, wspominał ze smutkiem swego ukochanego jedynaka zmarłego Kocia, co niedawno jeszcze tak lubił oświetlać drzewko świerkowe na gwiazdkę.

Na herbatę dopiero po wilji, późnym wieczorem przybyło kilka osób z bliższych krewnych i znajomych, towarzystwo ożywiło się bardziej.

Święta przeszły weselej. Odwiedziłem bowiem stryjenkę Ignacową, kuzynki, sąsiadki i innych znajomych.

Według wiadomości, jakie z domu otrzymałem, dziadek Wincenty Piątkowski, na początku października 1864 roku, przybył z Zagórza pod Miechowem, gdzie zamieszkiwał, na czas dłuższy do Charsznicy, w której gospodarowała babcia w zastępstwie syna Bogdana nieobecnego. Przebywała tamże jeszcze po wakacjach letnich mama z młodszym rodzeństwem mojem:

siostrami Hanią, Milunią i braciszkiem Mieciem. Najstarsza bowiem siostra moja Marynia była wtedy w klasie II-giej, w pensjonacie zakonnicy Norbertanek w Imbramowicach, w pobliżu Charsznicy.

Brat mamy wuj Bogdan Piątkowski, po uwolnieniu się, jako powstaniec internowany z twierdzy Iglawy w Morawji, przebywając na wolnej stopie w Wiedniu, tęsknił bardzo za krajem i za swym gospodarstwem w Charsznicy. Pisywał też o tem często i przysłał swoją świeżą fotografię, na której biedny wyglądał bardzo mizernie, zmieniony, jak to mama w swym liście do mnie opisuje.

Brat cioteczny mamy wuj Julian Godeffroy, aresztowany jeszcze w lecie 1864 r., jako członek organizacji powstańczej, jak to już wspomniałem poprzednio, po długim śledztwie w Kielcach, został stamtąd w jesieni z innymi więźniami politycznymi przeniesiony do więzienia w Chęcinach, skąd natomiast wszystkich kryminalistów przepędzono do Kielc.

Wobec tego wszystkiego, na początku października 1864 r., po przybyciu dziadka Piątkowskiego do Charsznicy, zjechali się tam na naradę familijną: ojciec wuja Juliana dziadek Karol Godeffroy, wuj Zagórski szwagier wuja Bogdana z żoną swą Wincentyną; przybyli też sąsiedzi i przyjaciele dziadka: p. Radziejowski z Witowic, oraz p. Siemoński kuzyn. Uradzono: że dziadek Piątkowski ma poczynić starania u rządu w Warszawie, aby wujowi Bogdanowi pozwolono wrócić do kraju. Za wujem zaś Julianem Godeffroy starania o uwolnienie z więzienia w Chęcinach czynić miała w dalszym ciągu jego matka, która też wkrótce zjechała tam i zamieszkała u moich rodziców. Dziadek Karol Godeffroy wyjechał do Krakowa na stałe mieszkanie, aby tam przygotować wszystko na przyjęcie syna po uwolnieniu go. Dobra swoje Zborów i Solec pod Stopnicą oddał córce i zięciowi swemu Walchnowskiemu, zatrzymując dla siebie znaczne kapitały i papiery procentowe złożone w bankach krakowskich.

Po tem wszystkiem w Warszawie, po nowym roku 1865 w połowie stycznia, spotkała mię miła niespodzianka: w cichy wieczór zimowy o zmroku do drzwi mego mieszkania na Chmielnej ulicy zapukał posłaniec z Hotelu saskiego z wiadomością, że „Pan gubernator z Charsznicy przyjechał i prosi pana do siebie“. Uradowany pobiegłem tam zaraz. Na powitanie ucałowałem rękę kochanego dziadka, który też uściskał mię serdecznie, jał pytać o wszystko, i opowiadać o domu. Przyniesiono tacę z zastawą do herbaty z restauracji hotelowej i rozmawialiśmy długo.

Pogodne dawniej, choć poważne zawsze oblicze dziadka, teraz było bardzo smutne. Cień troski głębokiej mroczył je, jakby odbicie całego szeregu klęsk i strat ogromnych, jakie dziadek poniósł podczas powstania, mianowicie w Miechowie,

gdzie owoc trudów życia całego: wielka biblioteka, piękna galerja obrazów i cenne zbiory naukowe zostały mu przeważnie zrabowane przez żołdactwo, a zresztą z wielkim domem zgorzały do szczytu.

Teraz dziadek, znękany tem wszystkim, przybył do stolicy, by ratować z niewoli swego biednego jedynaka. Pozwolenie na przyjazd wuja Bogdana z Austrii do Warszawy zostało od władz wojskowych rosyjskich z wielkim trudem wyrobione. Ale od granicy wuj musiał jechać pod strażą żandarmów, a po przybyciu do Warszawy osadzony został zaraz w więzieniu politycznym, w tak zwanym Pawjaku, razem z innymi towarzyszami niedoli.

Dziadek skutkiem mrozów i uciążliwych trudów przy staraniach o uwolnienie syna, zmartwiony przytem nieskutecznością swych zabiegów, zaziębiwszy się zachorował. Mama moja uwiadomiona o tem, pośpieszyła do Warszawy, aby być dziadzi pomocą i ulgą. Po drodze wstąpiła w Radomiu do siostry swojej Eugenji, której mąż wuj Daniewski, zebrał się także, i razem z mamą przybyli do Warszawy w sam dzień imienin dziadzi Wincentego, t. j. 22 stycznia 1865 r.

W liście do siostrzyczki mojej Maryni wysłanym do szkoły w Imbramowicach tak mama o tem pisze:

„Dziadzio bardzo nam był rad. Spłakałam się przy powitaniu i życzeniach. Zastałam biednego dziadzię słabego bardzo, mizernego i smutnego. Nadbiegł Staś (to jest ja) i stanął przede mną oniemiały ze zdziwienia i radości, bo się mnie wcale nie spodziewał. Wygląda dodrze, wyrósł, spoważniał, uczy się i pracuje. Jest też kochanemu dziadzi wysługą i pociechą“.

Dziadek, jako staruszek przeszło 70-letni i słaby, nie był w stanie dość energicznie chodzić w sprawie wuja, tem bardziej że mrozy były wówczas silne. Mama przeto, obok zabiegów koło chorego, postanowiła zająć się gorąco staraniami o uwolnienie brata swego. Ale trudności robiono niezmiernie wielkie. Zeszedł koniec stycznia, a sprawa wcale nie postąpiła naprzód. Dnia 2 lutego przybyła koleją wiedeńską do Warszawy babcia ze swą córką Wincentyną i siostrą jej męża panną Walerją Zagórską.

W trakcie tego towarzysz wuja Bogdana z powstania i więzienia młody Frelich, uznany za mniej winnego, po zameldowaniu się w komisji śledczej w Warszawie, został wkrótce uwolniony. Wyjechał też coprędzej, aby się wydostać z niebezpiecznego środowiska. Z nim wyjechały ciotka Wincentyna Zagórska i panna Walerja.

W tymże czasie przybył z Rzymu do Warszawy ksiądz Władysław Daniewski, odwiedził dziadziów i odjechał z bratem swym wujem Piotrem do Radomia, gdzie dłużej zamieszkał. Odwiedzili też dziadziów i mamę dawni znajomi z Kielc, mieszkający podówczas w Warszawie: państwo Kosiccy, panna Marja

Michałowska z Wężerowa pod Miechowem, panna Lućyna Mieroszewska przyjaciółka mamy i inni.

Mama tymczasem nie zdołała nawet uzyskać pozwolenia osobistego widzenia się z bratem swym w więzieniu. Dozwolono tylko pisać niekiedy do wuja i odpisywać krótko i treściwie. Po raz trzeci wreszcie w komisji śledczej zapewniono mamę, że wuj wkrótce już będzie uwolniony. Wobec tego mama odjechała zpowrotem do domu, w towarzystwie swej znajomej panny Chwalibożanki. W Radomiu przenocowała u siostry swojej Eugenji Daniewskiej, a stamtąd wzięwszy ekstrapocztę do Kielc, przybyła wreszcie do Chęcin szczęśliwie do domu. Zastąpiła ojca i dzieci młodsze w dobrym zdrowiu, ale i mnóstwo roboty zaległej po dłuższej nieobecności.

Dziadzio wyzdrowiawszy pod opieką babci, rozpoczął gorliwie dalsze starania w celu uwolnienia syna, albowiem zapewnienia dane mamie okazały się znów złudne. Wyzysk był ogromny! Trudności stawiano coraz nowe....

Ja odwiedzałem dziadziów codziennie, a nawet po dwa razy dziennie wmiarę potrzeby, niosąc pomoc wszelką wedle możliwości.

Nakoniec po zwalczeniu przeróżnych przeszkód, po prześlękłem śledztwie — udało się dziadkowi, przy pomocy wysokich stosunków, a niemałych kosztów, uwolnić zupełnie ukochanego syna.

Wuj Bogdan był pobytem poprzednim w kazamatach fortecnych w Iglawie w Morawji, a potem więzieniem warszawskiem na Pawiakn bardzo zbiedzony. Najbardziej zaś przygnębiony na duchu niespodziewaną klęską swego świetnego oddziału, a wreszcie ostatecznym upadkiem całego powstania narodowego. Atoli uwolniony całkiem nakoniec, przedko odżył i okrzepł. Na wyjeźdnem z Warszawy porobił wuj sprawunki niezbędne, i zakupił dużo książek polskich i francuskich do czytania na wsi podczas długich wieczorów.

Dziadek zakupił też na przedmieściu Pradze dwadzieścia koni fornalskich, bardzo tanio od władz wojskowych kozackich, które corocznie robiły tam wyprzedaż. Ja owe konie razem z ludźmi, którzy przybyli po nie ze wsi z paszą, odprowadziłem z Pragi przez Warszawę do rogatek Jerozolimskich, skąd dalej szosą radomską pojechał ów tabor przez Kielce i Miechów do Charsznicy.

Po krótkim wypoczynku w hotelu, dziadek z babcią i wujem pośpieszyli do domu. Odprowadziłem ich na dworzec kolei wiedeńskiej, i pożegnałem na drogę, zasyłając dla swoich blizkich pozdrowienia. Wuj Bogdan, przybywszy na wieś do swej ulubionej Charsznicy wziął się gorliwie do podniesienia gospodarstwa podupadłego podczas nieszczęsnego powstania.

Ja również, po tem uspokojeniu, zabrałem się do dalszej pracy, chodząc regularnie na wszystkie wykłady wydziału przy-

rodniczego, do gabinetów i biblioteki uniwersyteckiej o ile czasu starczyło. Pracowałem też w dalszym ciągu w laboratorium osteologicznym z kolegą Antonim Słosarskim, pod kierunkiem profesora Augusta Wrześniowskiego, którego znakomite wykłady z uwzględnieniem najnowszych badań oraz teorii Darwina, już wtedy budziły wielkie zajęcie.

Całe szeregi skieletów kręgowców małych i dużych w pracowni osteologicznej, preparowanie i rozpatrywanie części składowych w świetle anatomji porównawczej, obok znakomitych atlasów i rysunków Cuvier'a i t. p., objaśnianych żywym słowem znakomitego profesora naszego, były świetną ilustracją jego licznie uczęszczanych wykładów. Odbywały się one zwykle przed południem, w sali na I piętrze, obok bogatego już wtedy gabinetu zoologicznego.

Kustoszem onego od r. 1862, jak to już nadmieniałem poprzednio, był podówczas Władysław Taczanowski, znakomity naturalista i ornitolog, podróżnik po Afryce, w pełni sił i pracy zawodowej (jako urodzony w r. 1819) który z całą życzliwością i zamiłowaniem udzielał mi i kolegom studentom, pracującym w gabinecie, swych świątłych wskazówek i uwag.

Kolega Bronisław Rajchman, jeden z zamiłowanych słuchaczy wykładu zoologii, w późniejszej swej pracy p. n. „Teoria Darwina w stosunku do nauki i życia“ (wydanej jako odbitka z „Ateneum“ warszawskiego w r. 1882) podał krótki zarys o „Teorii Darwina w literaturze polskiej“ na str. 38 i nast. Zaznaczono tam, że pierwszym naukowym pionierem u nas teorii ewolucyjnej Darwina był właśnie nasz profesor Wrześniowski.

W r. 1864, pisze Rajchman, nowy profesor zoologii w Szkole głównej warszawskiej August Wrześniowski, rozpoczynając wykład systematyczny zoologii, pomieścił przy rozbiórce znaczenia gatunku streszczenie teorii Darwina, w którym widocznie staje po stronie tej teorii. Pierwsze to naukowe przedstawienie nowego poglądu znajduje się na str. 27 i nast. „Kursu zoologii“ profesora Wrześniowskiego z roku 1864-5, w wydaniu litografowanym jednego ze studentów naszych kolegów.

Wiadomo, jak z czasem, teoria Darwina wywołała w naszym piśmiennictwie i prasie perjodycznej burzliwe polemiki i olbrzymi ruch umysłowy, równie jak w całym świecie naukowym współczesnym.

Podobnie jak nasz największy genjusz Kopernik wyjaśnił budowę wszechświata w przestrzeni — tak genjusz Darwina wyświetlił rozwój wszechświata i życia organicznego w czasie. Wielka ewolucja powszechna opiera się na prawach przezeń wykrytych i uzasadnionych.

Karol Robert Darwin urodził się 12 lutego 1809 roku. Studjował przyrodoznawstwo i medycynę w Edimburgu i w Cambridge, odbył pięcioletnią podróż naokoło świata, a w r. 1842

osiadł w Down pod Londynem, gdzie resztę życia spędził. Spostrzeżenia i doświadczenia podróży były główną podstawą późniejszej działalności Darwina, który zebrane materiały opracował następnie w zaciszu wiejskim. Pierwsze jego dzieło „O powstawaniu gatunków“ wydane zostało w r. 1859. Potem szły koleje, wśród wrzawy polemicznej, dzieła: „O zmienności zwierząt i roślin w stanie oswojonym“, „O pochodzeniu człowieka“, „O wyrazie uczuć u zwierząt i ludzi“ i inne, tłumaczone stopniowo i wydawane znacznie później u nas w języku polskim. Darwin zmarł 19 kwietnia 1882 r., pochowany w panteonie Westminsteru w Londynie. Później w wielkiej hali Natural History Museum na Kensington w stolicy Anglii umieszczono jego wspinały pomnik z śnieżnobiałego alabastru, gdzie Darwin zasiada w pełni apoteozy genjusza!

W drugiej połowie XIX wieku, od czasu wykładów profesora Wrześniowskiego, w naszej Szkole głównej wszczął się ów burzliwy ferment, jaki wytworzył tak zwany „darwinizm“, sięgając daleko po za granice nauki ścisłej. Nowa śmiała teoria, obalająca ustalone mniemanie o niezmienności gatunku, a zarazem jej daleko sięgające konsekwencje — wywołały z jednej strony wielki przełom w poglądach na zagadnienia przyrodnicze i biologiczne, z drugiej spowodowały spory namiętne, w których brali udział nie tylko uczeni teoretycy, lecz i sfery mniej powołane nieuków. Wytworzyły się dwa obozy, walczące z sobą zawzięcie. Obóz zwolenników bezwzględnych i obóz przeciwników hałaśliwych, którzy napełniali wrzawą całą współczesną prasę warszawską i polską wogóle, podobnie jak zagraniczną.

Wśród zajęć i studjów uniwersyteckich czas szybko schodził. Zbliżały się ferje wiosenne wielkanocne, powietrze w początku kwietnia znacznie złagodniało. Postanowiłem odwiedzić rodziców w Chęcinach, i wziąłem urlop studencki z kancelarii jako legitymację obowiązującą w stanie wojennym na drogę.

Koledzy radomiacy i kielczanie porozumieli się, aby taniej odbyć podróż na święta, wynając wspólnie ryczałtowo kilka omnibusów, kursujących stale po szosie głównej krakowskiej z Warszawy przez Radom i Kielce. Furmani żydzi, stacjonujący w Warszawie w zajeździe na Placu grzybowski, zgodzili się zabrać wyłącznie nas tylko, licząc po dwunastu na każdy omnibus, co wypadło po parę rubli na osobę wcale niedrogo.

W dniu oznaczonym przed świętami zebraliśmy się wszyscy o świcie z sakwożazami w Zajeździe na Placu grzybowski, i zająwszy miejsca grupami, wyruszyliśmy w drogę przez Aleję jerozolimską na szosę krakowską. Popasy w Grójcu, Radomiu, Szydłowcu i innych stacjach pomniejszych schodzili nam wesoło w liczne towarzystwie. Jechaliśmy dniem i nocą bez przerwy, posilając się herbatą gorącą, bułkami i wędlinami. W Radomiu część kolegów została, reszta ruszyła dalej. Koło Szydłowca omnibus jadący naprzód uwiązał na szosie rozmokłej głęboko.

Wysiedliśmy wszyscy, i przy pomocy przyniesionych drągów oraz koni odprzeżonych od omnibusu drugiego, wyciągnęliśmy z wielkim trudem wehikuł. Następnie i drugi w sześć koni przebył bagno szczęśliwie. Do Kielc przybyliśmy drugiego dnia w południe. Pożegnawszy się z kolegami, dojechałem wreszcie wózkiem najętym do Chęcín.

Rodziców i rodzeństwo zastałem w dobrym zdrowiu. Sam jednak naziębiwszy się w drodze przy forsownem wydzwiganiu naszego omnibusu z bagna, zaniemogłem nieco, lecz poleżawszy w ciepłe dni parę, przyszedłem całkiem do siebie.

I te jednak święta wielkanocne smutne były nad wyraz. Więzienie bowiem karne w Chęcínach, w dawnym gmachu poklasztornym, przepełnione było podsądnymi politycznymi, a groźna i surowa komisja wojenna, pod prezydencją Hatzfelda, wydawała bezlitosne wyroki śmierci i zesłania na Sybir.

W liczbie więźniów tameczoych znajdował się też brat cioteczny mojej matki Julian Godefroy, przeniesiony tu z Kielc (jak to już nadmienilem poprzednio). Babka nasza cioteczna a matka wuja Juliana, mieszkała przez ten czas u moich rodziców. Po usilnych staraniach, uzyskała pozwolenie posyłania lepszej żywności dla syna do więzienia. Codzień szły tam od nas duże kosze z wiktuałami i obiadem, wystarczające nietylko dla wuja, lecz i dla kilku jego towarzyszków niedoli.

Jednego dnia zaraz po Wielkanocy ojciec mój wydał wystawną kolację dla prezesa i członków komisji wojennej z wytwornemi winami i likierami. Panowie zaproszeni i krewni przybyli umyślnie, zasiedli potem do grubej gry w karty przy paru stolikach. Ta cała tragikomedja była dla mnie tak wstrętna i gnębiąca, że nie chciałem wcale wyjść do owych gości do salonu, choć prezes komisji dopytywał się o mnie jako o studenta uniwersytetu przybyłego świeżo z Warszawy; prosiłem więc ojca, aby mnie wytłomaczył zasłabnięciem wskutek przeziębienia w drodze.

Ale wreszcie wszystko dobre co się kończy dobrze — przynajmniej wówczas dla nas. Wkrótce bowiem po owym festynie zapadł wyrok pomyślny w sprawie wuja Juliana, który też zaraz po zapłaceniu dużej kontrybucji karnej, został uwolniony, mimo że oskarżony był o należenie do organizacji powstania, za co groziły kary najwyższe. Otrzymawszy potrzebne legitymacje i papiery, wuj z matką swoją wyjechał niezwłocznie do Krakowa, gdzie dziadek Karol Godefroy jego ojciec stale tam mieszkający, przygotował wszystko na jego przybycie. Po wypoczynku należytem i odetchnięciu po udrękach więziennych, wuj Julian, nie chcąc być bezczynnym, założył przy pomocy swoich kapitałów Dom handlowy pod swoją firmą i skład hurtowy win węgierskich, francuskich, oraz szampańskich (pierwszorzędnej marki „Charles Farre à Reims“), zawiązał też bezpośrednie stosunki z wielką firmą Benjamina Godefroy w Ham-

burgu dla eksportu okowity i innych produktów krajowych. Dom B. Godeffroy, krewnego dziadka Karola posiadał w Hamburgu piękne Muzeum handlowo-przyrodnicze, własną flotę złożoną z kilkudziesięciu parowców i rozległe stosunki we wszystkich częściach świata, mianowicie w Australji i Brazylii.

Po wyjeździe wuja Juljana i jego matki pomалу uspokoiło się wszystko w domu rodziców, i wróciło do zwykłego trybu życia w małym miasteczku, jakim były Chęciny. W dnie pogodne chodziliśmy wieczorami na przechadzki w okolice górzyste i niezwykle malownicze. Najczęściej do ruin zamku o trzech kolosalnych basztach, na stromej skalistej górze, z której roztaczał się widok wspaniały na białą szosę krakowską, dolinę rzeki Nidy, wioski i lasy rozległe, wieńczące pasma górskie w błękitie widnokrzęgu.

Towarzyszył nam zwykle ojciec. Mama bowiem, zajęta gospodarstwem domowym i utrudzona przyjęciami gości niedawnych, nie mogła chodzić daleko. Za to moje siostrzyczki: Marynia 13-letnia, Hania 8-letnia, 4-letnia Milunia i braciszek 6-letni Miecio — biegali po skalach jak młode kózki. Wracając wstępowaliśmy czasem do chat wiejskich na mleko. To znów do pracowni kamieniarzy chęcińskich oglądać ich wyroby z pięknych marmurów różnobarwnych, rozliczne: przyciski, popielniczki, kałamarze, tytonierki, nagrobki katolickie, żydowskie i t. p.

Niekiedy spotykaliśmy kolegów sądowych ojca, panów: Huzarskiego, Ereta, Holca, lub znajomych naszych: doktora Rózdzievicza, burmistrza Skubniewskiego i innych, którzy przyłączyli się albo wstępowali do nas na herbatę wieczorną.

W dalsze okolice Chęcin robiłem też sam wycieczki krajoznawcze: w Góry żelejowskie lub do wsi Korzecka, gdzie wydobywano piękne marmury barwne białoróżowe, żółte i t. p. Także do wsi Podzamec na południe od Góry zamkowej, gdzie w półdzikim parku, w końcu głównej alei świerkowej, zachowała się dobrze jeszcze wspaniała brama triumfalna, wzniesiona na cześć króla Jana III-go Sobieskiego, po jego zwycięstwie nad Turkami pod Wiedniem. Wykonałem też staranny i dokładny rysunek tego pomnika dziejowego mało znanego dotychczas, i po powrocie do Warszawy oddałem osobiście do rąk ówczesnego redaktora „Tygodnika ilustrowanego“ Ludwika Jenikowego. Łaskawie go przyjął i obiecał publikować w swoim czasopiśmie. Jakoż w kilka miesięcy potem, w numerze 308 „Tygodnika ilustrowanego“ z dnia 19 sierpnia 1865 roku, odbity został drzeworyt wykonany przez A. Karmańskiego według mojego rysunku, z lakonicznym podpisem: „Brama tryumfalna pod Chęcunami wzniesiona w roku 1683“, gdyż na obszerniejsze objaśnienie historyczne nie pozwoliła ówczesna cenzura rosyjska. Był to pierwszy mój występ na polu publicystyki warszawskiej, równie skromny jak bezinteresowny, gdyż pod rysunkiem nie

podpisałem się, ani też honorarium wcale nie dostałem. Nawet korekta była niedbała, gdyż w dacie roku historycznego wydrukowano pod drzeworytem mylnie rok 1603 zamiast 1683!....

Siostra moja najstarsza Marynia była wówczas w II-giej klasie w pensjonacie szkoły wyższej żeńskiej w klasztorze Norbertanek w Imbramowicach pod Miechowem.

Druga siostrzyczka Hania uczyła się w domu od mamy początków przygotowawczych do szkoły. Najmłodsza 4-letnia Milunia i 6-letni braciszek Miecio zabawiali się zwykle razem, biegając po pokojach lub w ogródku przy domu.

W tem miłym kółku domowym święta i ferje moje wielkanocne zeszyły prędko. Mama odwiozła siostrę Marynię do Imbramowic przez Miechów, wstąpiwszy w Zagórze do naszych dziadków, którzy swój powóz przysłali po mamę. Ja o dzień przed tem wyjechałem do Warszawy furgonem pocztowym, kursującym stale szosą krakowską od samej granicy austriackiej w Michałowicach, przez Chęciny, Kielce i Radom, z pakietami i pieniędzmi. Na przedzie furgonu było parę siedzeń wygodnych, pod daszkiem, dla konduktora i jednego pasażera za niewielką opłatą. Jazda nie była szybka, mimo to szczęśliwie i na czas według urlopu przybyłem do Warszawy.

Mieszkanie moje przy ulicy Chmielnej, w domu stryja Marcelego, w pobliżu Nowego Świata wiosną było najprzyjemniejsze. Umiarkowana ciepota kwietniowa i majowa panowała tam, bez przykrości zimowych mrozów i gorąca nadmiernego upałów letnich. Ostatnie okno w drugim pokoju, który sam wyłącznie zajmowałem, dawało śliczny widok na kwieciste bujne ogrody i sady owocowe, rozpościerające się wpośród wielkiego kwadratu domów między ulicami Chmielną, Nowym Światem, Warecką a Szpitalną. Cienisty ogród pięknej willi księcia Jana Tadeusza Lubomirskiego, położony przy ulicy Wareckiej, ciągnął się aż do muru ogrodu domu stryja. Wiosną owe sady okrywały się białym kwieciami drzew owocowych, a zapachy bżów, jaśminów, róż napelniały powietrze rozkoszną wonią.

Przybywszy do Warszawy wieczorem, po przywitaniu stryjostwa, dla wypoczynku po nurzącej podróży miałem się wcześniej położyć.... W tem przez okno otwarte jeszcze doleciały mnie z ogrodu domu przyległego melodyjne dźwięki walca Fausta „Maerchen aus schoener Zeit“. W owe czasy bramy domów, z powodu stanu wojennego, zamykano wcześniej. Więc dla skrócenia sobie drogi w sąsiedztwo, przedostałem się przez nasz ogródek, zerwawszy po drodze pęk świeżych kwiatów, przeskoczyłem przez mur na drugie podwórze i stanąłem w oświetlonym oknie na parterze. Przy oknie na fotelu siedział mój stary znajomy profesor L.*, paląc fajeczkę francuską na krótkim cybuszku. Przy pianinie jego córka Juljetta kończyła ostatnie akordy walca.... Podałem jej kwiaty i zostałem zapro-

szony na powitanie mimo dość późnej godziny. Po krótkiej pogawędce wróciłem tą samą drogą do domu, i spałem jak kamień do późnego rana.

Wstawszy, zaraz po śniadaniu pośpieszyłem do Pałacu Kaźmierowskiego na wykłady, aby nie mieć przerwy w moich skryptach, które prowadziłem ciągle starannie choć bardzo treściwie, jako zapiski do egzaminów.

Wykłady chemji profesora Dudrewicza dla przyrodników, medyków i farmaceutów, jak zwykle odbywały się wówczas w sali głównej pałacu Staszycza obok pomnika Kopernika, gdzie mieściły się też laboratorja po dawnej Akademji medycznej. Znakomite wykłady anatomji ludzkiej profesora Hirszfelda popołudniowe, w amfiteatrze szpitala Dzieciątka Jezus, obok prosektorjum przy ulicy Zgoda. Z ulicy Chmielnej było mi tam wszędzie niedaleko.

Oprócz wykładów zoologii profesora Wrześniowskiego, które otwierały szersze widnokreśli biologji w oświetleniu pierwszych promieni teorii Darwina, inne przedmioty na wydziale przyrodniczym, na który byłem zapisany, acz traktowane bardzo starannie i gruntownie, nurzyły często ścisłą drobiazgowością analizy faktów, a niekiedy oschłością nieuchronną. To też obok nich prelekcje encyklopedji i historii filozofji profesora Struwego, oraz historii powszechnej, mianowicie dziejów narodu rzymskiego profesora Plebańskiego, na które też stale uczęszczałem, otwierały nierównie szersze horyzonty myśli — dla studenta początkującego.

Obok tego nowe dzieła na wystawach księgarń warszawskich nęciły często urokiem nieznanymi zagadnieniami społecznymi, wpośród ponurego nastroju i chaosu politycznego po świeżych klęskach, w jakie kraj nasz pogrążył upadek ostatniego powstania

Wystawa księgarni Gebethnera i Wolfa, na rogu ulicy Czystej i Krakowskiego-przedmieścia, była zwykle najobficiej zaopatrzona w nowości. Przechodząc zatrzymałem się przed nią dłużej, i spostrzegłem parę dzieł polskich, które zwróciły moją uwagę. Po bliższem rozpatrzeniu kupiłem dzieła Supińskiego: „Myśl ogólna fizjologii powszechnej“ i „Szkoła polska gospodarstwa społecznego“, wydane we Lwowie. Z powodu utrudnień ówczesnej cenzury rosyjskiej, wydawnictwa zagraniczne, a zwłaszcza polskie galicyjskie, zwykle znacznie później po wyjściu ukazywały się w Warszawie. Pierwsze z dzieł wymienionych powyżej wyszło w roku 1860; tom I „Szkoły gospodarstwa społecznego“, wydany we Lwowie w roku 1862, pojawił się w Warszawie razem z tomem II-gim wypuszczonym w świat w roku 1865, świeżo właśnie podówczas.

Dzieła owe Supińskiego niezmiernie mnie zainteresowały, i cały wolny czas w nich się rozczytywałem. Pokazałem je stryjowi Marcelemn, którego sprawy krajowe, mianowicie go-

spodarstwa rolnego, bardzo zajmowały. Zaraz też wyjął ze swej biblioteki domowej przekład polski Ekonomji politycznej Jana Baptysty Say'a i dał mi do czytania, sam zaś wziął ode mnie do przejrzenia „Szkolę gospodrstwa społecznego“ Supińskiego. Znakomity ów pisarz i badacz filozofji społecznej i jego dzieła budziły podówczas ogólne zajęcie niezwykle. Józef Supiński, urodzony w roku 1804 w Romanowie pod Lwowem, od roku 1826 do 1830 urzędował w Warszawie w komisji spraw wewnętrznych. Następnie od roku 1831 przebywał jako emigrant we Francji, gdzie został naczelnikiem rachuby w kasie departamentu w Lyonie. Od roku 1844 wróciwszy do kraju osiadł we Lwowie, jako rachmistrz tamecznej kasy oszczędności. Był też współpracownikiem „Dziennika narodowego“, i tam wydał swoje dzieła społeczno-ekonomiczne, które odrazu zjednały mu rozgłos szeroki i wywarły wpływ głęboki wpośród młodzieży uniwersyteckiej. Koledzy moi, zwłaszcza prawnicy odwiedzający mię, rozchwytywali te książki, i często toczyliśmy o nich rozprawy gorące.

Jako pół-wieśniak i spokrewniony z wielu ziemianami, borykającymi się z upadkiem gospodarstwa, widziałem i odczuwałem całą ważność i potrzebę rozległej pracy nad podniesieniem kraju z grożącej mu ruiny. To też zapragnąłem rozwinąć działalność w tym kierunku, nierównie szerszą niż nauczycielstwo przyrodnicze, któremu pierwotnie miałem zamiar poświęcić się.

Wszystko to stopniowo wywołało we mnie pociąg nieprzeparty i chęć studjowania głębszego stosunków ekonomiczno-społecznych świata ludzkiego wogóle, a mianowicie też kraju naszego. Zniechęcony drobiazgowością programów egzaminacyjnych wydziału przyrodniczo - matematycznego, postanowiłem przejść na wydział prawa i administracji zaraz po wakacjach, w następnym roku akademickim.

Wolny od troski mozolnego przygotowania do egzaminów końcorocznych, nie przestawałem jednak słuchać tak jak dotychczas regularnie wykładów kursu I i II-go sekcji przyrodniczej wydziału matematyczno-fizycznego. A obok rozczytywania się w ulubionych dziełach Supińskiego i Darwina, cały czas swobodny poświęcałem w Bibliotece głównej studjowaniu dzieł najznakomitszych ekonomistów: Adama Smitha, John Stuarta Milla, J. B. Saya, Bastiata i innych.

Wiosną i latem wstawałem wcześniej około godziny 5-ej. Na śniadanie chodziłem zwykle do pobliskiego starodawnego ogrodu zwanego Foksal, położonego naprost wylotu ul. Chmielnej przy Nowym Świecie, o kilkadziesiąt kroków od mego mieszkania. Na ów Foksal prowadziło długie podwórze (przekształcone w późniejszych czasach na świetną ulicę tejże nazwy). W końcu onego, za sztachetami drewnianymi, ciągnęła się w ogrodzie szeroka aleja lip i kasztanów starych, oraz parę uliczek bocznych zadrzewionych cienisto. Cały ogród otaczał gruby mur i stoki

spadziste, graniczące z sadami kościoła św. Kazimierza i klasztoru szarytek czyli sióstr miłosierdzia. W lewym kącie ogrodu znajdował się duży kopiec, z którego szczytu roztaczał się widok rozległy i wspaniały na szeroką Wisłę i Saską Kępę. Po tej samej stronie w budynku drewnianym była mleczarnia i kawiarnia. Dawano tam na stolikach w cieniu drzew wyborną kawę ze śmietanką, herbatę, mleko słodkie i zsiadłe ze świeżym pieczywem i wiejskim masłem, jaja w skorupkach na mięko i jajecznicę z ziemniakami, po cenach bardzo tanich.

Później w starym ogrodzie na Foksalu zbudowany został piękny pałac hr. Przezdzieckich, obejmujący bogatą bibliotekę, zbiory obrazów olejnych, rycin i t. p. Ogród oddzielony został od ulicy sztachtami żelaznymi, z szeroką bramą wjazdową i furta. Długie dawne podwórze zamieniło się na ulicę zabudowaną nowoczesnymi domami mieszkalnymi aż do Nowego Świata.

Wieczorami na dalszą przechadzkę wychodziłem zwykle dalej do Ogrodu botanicznego, woniejącego zawsze kwieciami przeróżnymi, albo do Parku królewskiego przy Pałacu Łazienkowskim. W święta lub niedzielę za Wisłę łodzią na Saską Kępę, a czasem do Wilanowa dla zwiedzenia pałacu Sobieskiego, tamecznych zbiorów historycznych i wspaniałego parku.

Wilanów i Saska Kępa podówczas to dwa kontrasty, jakby dwa światy odrębne po dwu stronach Wisły — światy arystokratyczny i demokratyczny.

Wilanów, jego stary pałac królewski i park cienisty, pełen wytworności i powagi artystycznej, tchnął zawsze urokiem niezrównanym ciszy, spokoju i wspomnień dziejowych, przesławnej potęgi Rzeczypospolitej polskiej, jej blasku i zwycięstw króla Jana III-go.

Saska Kępa pod owe czasy to piękna polska wieś nad płaskim zielonym brzegiem szeroko rozlanej Wisły, z gajami olbrzymich topoli odwiecznych, z sadami tonącymi wiosną w morzu białego kwiecia, pełnymi złotych owoców latem i jesienią; wieś tchnąca wonią łąk bujnych, pokrytych pokosami i stogami świeżego siana. Wieczorami w jej sielskich dworach, w cieniu sadów, w tak zwanym „Prado“, „Pod Dębem“ i wielu innych, dźwięczna muzyka wędrownych grajków: na skrzypcach, klarinetach i wiolonczeli, z towarzyszeniem miejscowych starych fortepianów, nęciła licznych gości ze Starego miasta i nowych dzielnic Warszawy.

W altanach ustronnych, oplecionych powojem i dziką winoroślą, zastawiano tam skromne kolacje wiejskie: mleczywo, śmietanę, pierniki, piwo z przekąskami zimnymi, kurczęta pieczone, raki, szparagi, niekiedy szampan i kriuszony, w towarzystwie wesółych dam.

W niedzielę i święta Saską Kępę zapełniały tłumy ludu warszawskiego, pracującego mozolnie cały tydzień, aby w dniu

wolne od zajęć zabawić się wesoło i hulaszczko. Liczne wielkie łodzie, o nazwach fantastycznych i godłach malowanych na szerokich żaglach: Pod Syreną, Pod Kotwicą, Pod Twardowskim, Pod Meluzyną, Pod Kogutem i t. p., przewożyły z brzegu warszawskiego przy wielkim Młynie parowym na Solcu, całe rzesze za opłatą 10 groszy od osoby. Tłumy owe na brzegu przeciwnym rozlewały się szeroko po dworkach, sadach i błoniach, przynosząc z sobą wiktuały własne do spożycia, albo zapijając mleczywo i piwo całymi antałkami w bufetach miejscowych. Wszędzie bujały tam w górę huśtawki, kręciły się zawrotne młyny djabelskie, karuzele z grą loteryjną w kółko i t. p. Przy katarynce i muzyce domorosłych skrzypków lub klarncistów szły tany gromadne licznych par upojonych świeżem powietrzem i zabawą ochoczą. Mnóstwo jaskrawo-strojnych dziewcząt i wesołych kawalerów im asystujących napełniało śmiechem szczerym i śpiewem niewyszukanym tę rojną scenerję zabawy ludowej na tle krajobrazu wiejskiego. Przekupnie limonady, owoców, cukierków, pierników, obwarzanków, orzechów i t. p. uwijali się wśród tych rozbawionych tłumów na każdym kroku, z niemałym odbytem na swe niewybredne a tanie smakołyki. Późną nocą powoli ucichał gwar, tłumy wracały powoli łodziami do Warszawy. Mniej odważni szli pieszo przez Pragę i most żelazny do domu. Nieliczni tylko czciciele Bachusa przeciągali hulaszczą zabawę do białego rana.

Dolina szwajcarska czyli tak zwany ogród w Alejach ujazdowskich, stanowiła w Warszawie podówczas ulubione miejsce rozrywki licznych sfer mieszczańskich, odwiedzane tłumnie, mianowicie w dniu świąteczne i niedzielne. Odgradzony od Alei sztachetami żelaznymi o dwóch bramach szeroki kwiecisty zajazd pałacowy dla karet i dorożek, prowadził przed piękną willę piętrową, w której mieściła się wielka sala koncertowa i gabinety jadalne z bufetami. Osobny chodnik kryty, ocieniony dziką winoroślą, dla gości pieszych, służył za przejście z ulicy wprost do pięknego ogrodu, mieszczącego się w zagłębieniu obszernem, ocienionego grupami olbrzymich drzew starych i klombami krzewów kwiatowych. Z sali koncertowej wspaniałych teras z balustradą i podwójnymi schodami po obu stronach, prowadził do tegoż ogrodu. Wieczorem, przy rześkiem oświetleniu licznych lampjonów gazowych, latarni chińskich, a w dniu uroczyste wielkich ogni sztucznych, cała Dolina szwajcarska, przedstawiała widok iście czarodziejski.

Na estradzie wyniosłej w osobnej altanie o lekkiej kolumnadzie drewnianej, grywała podówczas w latach 1864 i następnych znakomita orkiestra wrocławska Bilsego, dając codziennie koncerty złożone z utworów popularnych, a w soboty koncerty symfoniczne dla lubowników muzyki klasycznej. Opłata za wejście na owe koncerty popularne była bardzo tania po kopiejek 20 czyli 40 groszy od osoby zaś na symfoniczne po 2 złote.

Członkowie orkiestry Bilsego, niemcy, stołowali się razem na pobliskiej ulicy Wiejskiej przy Placu św. Aleksandra w jadłodajni prywatnej młodej wdowy niemki, osiadłej zdawna w Warszawie i mówiącej po polsku. Obiady były dobre i tanie, złożone z zupy, pieczystego z jarzyną i legominy albo kompotu. Jeden z naszych kolegów z Płocka, z sekcji matematycznej wydziału przyrodniczego, bywalec koncertowy Józef Ancypa, (ktorego przeżywaliśmy „ta Ancypa“) zrobił odkrycie owej restauracji artystycznej i polecił ją znajomym kolegom, z którymi tam chodziłem. Na deser obiadowy dawano nam czasem tak zwany kisiel, galaretkę żórawinową ze słodką śmietanką. Gospodyni niemka wymawiała nieco niewyraźnie „kisel“, co niemcy stołownicy rozumieli jako wyraz „küsse“ czyli pocałunki, żartując domagali się ich na deser od młodych dziewcząt, podających tam potrawy, co wywoływało ogólną wesołość.

W stronie północnej Warszawy, na przeciwległym krańcu miasta, nad brzegiem Wisły urwistym, Bielany z starym lasem sosnowym i dawnym pustym klasztorem kamedułów, z grobem wielkiego patrioty Staszycza, były też celem licznych wycieczek naszych studenckich. Wiosną, mianowicie podczas Zielonych świąt na majówkę gromadną dążyła tam cała Warszawa. Szosą: pieszo, wózkami, dorożkami, omnibusami, karetami, na platformach meblowych umajonych gałęziami — i jak kto mógł. Wisłą zaś łodziami i parowcami, na których przygrywały orkiestry. W lesie za klasztorem, podobnie jak na Saskiej Kępie, liczne huśtawki, karuzele, młyny djabelskie i katarynki stanowiły ogniska tłumnej zabawy ludowej. Całe koła taneczne młodzieży hasały przy muzyce grajków wędrownych, lub własnych harmonij ręcznych.

Nas też przyrodników kilkunastu bliżej znanych, wybrała się tam rano parowcem Wisłą cała drużyna, pod przewodnictwem kolegi Filipa Sulimierskiego (znanego później redaktora „Wędrowca“). Po skromnym obiedzie wspólnym, wędrując po lesie białeńskim, spotkaliśmy drugą podobną drużynę filologów, pod przewodnictwem kolegi Stanisława Mieczyskiego. Nastąpiła wzajemna prezentacja, Obie drużyny na komendę przewodników stanęły w dwóch szeregach naprzeciwko siebie podając sobie ręce i wymieniając wzajemnie nazwiska towarzyszków. Po wspólnej przechadzce i pogawędce, wróciliśmy wszyscy razem pieszo późnym wieczorem do Warszawy.

W stronie zachodniej miasta wielki Cmentarz powązkowski, zagajony mnóstwem drzew, krzewów i kwiatów, wpośród pięknych grobowców, często wspaniałych i artystycznych, był też odwiedzany tłumnie podczas większych pogrzebów znakomitych zmarłych, a głównie w t. zw. Dzień zaduszny w jesieni.

W śródmieściu wreszcie Stare Miasto Warszawy, zwłaszcza przy kontrastowym oświetleniu pełni księżycowej, z czarnymi sylwetami kościołów starożytnych, kamienie odwiecznych wy-

niosłych a smukłych—nęciło swym urokiem archaicznym. Nocne wyprawy w jego kręte i ciasne zaułki kończyły się w podrzędnych kawiarniach i tak zwanych salach tańca, w których półświatek miejscowy odprawiał orgje całonocne, z muzyką mniej lub więcej hałaśliwą, albo ze śpiewami, jak ten np. na nutę walca z „Fausta“ Gounod'a:

Na Starem Mieście,
Tam gdzie latarnia,
Numer szesnasty:
Sławna kawiarnia!
Tam mię pan znajdziesz,
Tam mię pan masz,
O każdej porze,
Na każdy czas!
Trzewiczki mam,
Pończoszki mam,
Chłopcy mię kochają,
O nic nie dbam!
Kapelusz mam,
Spódniczkę mam,
Chłopcy mię kochają,
O nic nie dbam!!
Na Starem Mieście,
Tam gdzie latarnia,
Numer szesnasty,
Sławna kawiarnia!
Tam mię pan znajdziesz,
Tam mię pan masz!
O każdej porze,
Na każdy czas!

Za Wisłą Praga, połączona z Warszawą wielkim mostem żelaznym Kierbedzia, była podówczas skromnem przedmieściem targowem na bydło, konie i t. p., gdzie handlarze przyjezdni i luddek miejscowy, w dworkach drewnianych nadbrzeżnych, raczył się miodem staropolskim i prawdziwemi toruńskimi piernikami z anyżem lub kminkiem. Główna restauracja tameczna, w cienistym ogrodzie „Pod Rakiem“, była wieczorami celem wędrowek amatorów raków, kurcząt i szparagów w osobnych altanach lub gabinetach . . .

Ogrody publiczne w śródmieściu Saski i Krasieńskich, zwykle ciche w dniu powszednie, zapełniały się w niedzielę i święta różnobarwnym tłumem miejskim. W tak zwanej „Alei westchnień“ w Saskim ogrodzie elegantki kokietowały złotą i pozłacaną młodzież od rana do zmroku. Tam też od czasu do czasu odbywały się wielkie zabawy publiczne, loterie fantowe i tombole na cele dobroczynne.

Wystawa malarstwa i rzeźby Towarzystwa zachęty do sztuk pięknych, zwiedzana tłumnie, mianowicie w niedzielę i święta, mieściła się pod owe czasy przy rogu ulicy Czystej na Krakowskim przedmieściu, na pięttrze starej kamienicy ocienionej od frontu dwoma drzewami, które ścięto później, gdy dla dokończenia budowy wielkiego czworoboku sąsiedniego Hotelu europejskiego, rozebrano ową kamienicę. Brat matki mojej a mój wuj Bogdan mieszkający na wsi, był stałym członkiem Towarzystwa sztuk pięknych. Corocznie też wykupywałem dla wuja bilet, za którym zwiedzałem często salony wystawy i odbierałem rycinę premjową, jaką odwoziłem wujowi, oprawioną w ładne ramy za szkłem, jadąc na wakacje do domu. Pod owe czasy mistrzowskie płótna: Matejki Wit Stwosz, Simlera Zgon Barbary, Gersona, Kossaka i inne ściągały na wystawę obrazów liczne rzesze zwiedzających.

Teatry Wielki i Rozmaitości, opera i dramat, mimo silnej atrakcji artystycznej znakomitości takich jak: Moniuszko, Królikowski, Żółkowski i in., w ciepłych miesiącach wiosny i lata przez studentów mniej były odwiedzane. W sferach bowiem górnych galeryj i paradyzu przystępnych dla naszej kieszeni, w owym sezonie było zbyt gorąco.

Wieczorem też, krom odwiedzin od czasu do czasu krewnych, kolegów, lub bliższych znajomych, szedłem w dnie pogodne zwykle sam na dalsze przechadzki do pysznych parków: Królewskiego w Łazienkach, Mokotowskiego, do Wierzbna lub Królikarni na podwieczorek wiejski. Niekiedy towarzyszyłem tam moim sąsiadom najbliższym z ulicy Chmielnej: profesorowi L.* z jego córkami Juljetą i Justyną.

Starsza, szesnastoletnia Juljeta, świeża jak wiosna i uroczo piękna, w białej sukience muślinowej i słomkowym kapeluszu z długim woalem, wyglądała zawsze czarownie. Lubiła kwiaty pachnące i śpiew ptasząt. Więc biegaliśmy po najdalszych ustroniach cienistych parków zbierać fiołki i konwalje, a na odpoczynek siedzieliśmy całe wieczory, wsłuchując się w koncerty słowików i innych wtruzozów skrzydlatych.

Po moim powrocie po Świętach wielkanocnych od rodziców, z Chęcini do Warszawy, otrzymałem z domu smutny list o wypadku nieszczęśliwym, jakiemu uległa moja matka najdroższa, gdy wychodząc z mieszkania, zaraz za progiem na gładkiej płycie marmurowej pośliznęła się i zwicnęła stopę prawą. Pomimo starannych opatrunków i pomocy lekarzy, silnie spuchnięta stopa w stawie piętowym, powodowała bardzo bolesne cierpienia. Całe miesiące schodziły bez polepszenia i ulgi najmniejszej na przykrej beczynności w łóżku lub fotelu, tem przykrzejszej, że podczas najpiękniejszej pory roku wiosny i lata, Bolałem bardzo nad tą niedolą mamy, i pragnąłem pospieszyć jak najprędzej do domu aby tam być pomocą. Nadeszły wreszcie upragnione wakacje czyli ferie letnie uniwersyteckie.

Pożegnałem znajomych, krewnych i stryjostwo Marcelich, w których domu mieszkałem stale na Chmielnej ulicy, i oddałem im klucze od moich pokojów. Stróż domu Teodor odniósł mój kuferek podróżny niedaleko na Pocztę na Plac warecki, skąd wyruszyłem wczesnym rankiem karetą pocztową czyli tak zwaną kurjerką. Zająłem zamówione zawnazu miejsce na przodzie zaraz za pocztyljonem, w tak zw. kabriolectic krytym tylko zwierzchu, zostawiając wewnątrz karety, w lecie nieco duszne, innym podróżnym. Pocztyljon zatrąbił donośnie i ruszyliśmy w drogę ostro. Żegnaj miła Warszawo—do prędkiego widzenia!

Po kamiennym bruku miejskim jechaliśmy zrazu wolniej, przez tę samą Aleję jerozolimską wysadzoną gęsto topolami włoskimi, przez którą przybyłem po raz pierwszy do naszej stolicy. Dalej szosą krakowską, gładką jak stół, karetą potoczyła się raźniej. Powiało świeże wonne powietrze od łąnów równiny mazowieckiej, rozpostartej szeroko jak step...

Wśród jednostajnego turkotu kół kurjery po drodze bitej, i tętentu kopyt rącej czwórki koni, snuły mi się echa pieśni studenckich nuconych półgłosem — urywki z dumy o Mazepie:

Przebieżalem mil niemało
Wzdłuż i wpoprzek przez Warszawę,
Dym łykałem i kurzawę,
Słońce idzie jakby spało...

Hej!

Każda piękna dla mnie równa,
Czy szlachianka, czy królewna,
Warszawianka, czy cyganka...

Hej!

Albo znów inne refreny:

Taki los wypadł nam,
Że dziś tu jutro tam...
Jutro tam!

Po krótkich przepręgach stacyjnych ubywało drogi sporo. Przez historyczny Raszyn i Grójec przebyliśmy wkrótce dolinę rzeki Pilicy z jej rozkosznymi łąkami w pełni rozkwitu letniego. Mój towarzysz podróży i sąsiad w kabriolectic ogorzały obywatel ziemski z Radomskiego z sumiastym siwym wąsem, hrabia S.*, w płóciennym garniturze i wiejskim kapeluszu słomianym, prowadził ze mną rozmowę bardzo zajmującą o stosunkach ekonomicznych współczesnych gospodarstwa rolnego, o sianobranii i hodowli inwentarza. Przejechaliśmy przez Radom, a na drugi dzień nad rankiem stanąłem w Kielcach. Wreszcie wózkem najętym okazynie przybyłem wkrótce do Chęcin pod dach rodzicielski.

W domu zastałem tylko ojca. Po przywitaniu dowiedziałem się, że mama z młodszym rodzeństwem przed kilku dniami wyjechała już na lato, do swoich rodziców do Zagórza pod Miechów, aby tam dalej prowadzić swobodnie kurację swojej zwichniętej stopy <http://rcin.org.pl>

Do obsługi domowej ojca przychodził woźny Swierczyński. Śniadania i herbatę wieczorną pijaliśmy w domu. Na obiady chodziliśmy do kolegi sądowego ojca p asesora Holca, który mieszkał niedaleko w ładnym domu parterowym wśród sadu owocowego, z żoną i kilkoletnią córeczką Sabcią, jedynaczką wielce rozpieszczoną. W gorące dni słoneczne obiadowaliśmy po wiejsku, przy stole pod wielką jabłonią rozłożystą, w przyjemnym cieniu i chłodzie.

Po obiedzie ojciec wracał do domu na wypoczynek po pracy biurowej. Ja zaś szedłem zwykle na ruiny zamczyska, z powieścią Kraszewskiego „Pod włoskiem niebem“, którą znalazłem u ojca na biurku. Wicher szumiał na szczycie góry po ostrych krawędziach starych murów i złomach skał stromych, białe chmurki sunęły po niebie lazurowym. Wokoło rozciągał się pyszny krajobraz górski i rozległy widok na kwiecistą dolinę Nidy.

Wracając przed wieczorem do domu przez las, wpośród gęstego zagajnika młodych sosen pachnących żywicą, spotkałem śliczną dziewczynę wiejską z dzbanem pełnym poziomek. Zakupiłem go cały. I na mchu miękkim puszystym, napół leżąc, soczyste jagody wyspane na duże liście, spożywaliśmy spragnieni ochłody, wpośród ciszy leśnej... Rusalka była córką młynarza z pobliskiej doliny. Wracając do domu zbierała jeszcze świeże jagody, by nie przynieść pustego dzbana, i nuciła wesołe piosenki wiejskie.

Ojciec mój nazajutrz otrzymał z poczty urlop urzędowy, na który właśnie oczekiwał, na czas feryj sądowych; zbierał się wyjechać do Zborowa i Solca na kurację swego reumatyzmu, którego się nabawił w wilgotnym więzieniu politycznym podczas powstania.

W chwili swobodnej przedstawiłem ojcu mój zamiar przeniesienia się z wydziału przyrodniczego Szkoły głównej warszawskiej na wydział prawa i administracji. Przedłożyłem powody kierujące mną w tym względzie, a mianowicie pobudkę główną: że pragnąc pracować owocnie dla kraju swego i narodu, muszę poznać głębiej nie tylko ich przyrodę, ale także cały ustrój społeczny, stosunki ekonomiczne i ustawy obowiązujące. Ojciec, jako prawnik zamiłowany, nie tylko pochwalił mój zamiar, ale obiecał dopomóc mi chętnie. Tem bardziej, że i starszy brat ojca stryj Marceli, z którym o tem rozmawiałem jeszcze w Warszawie, był również przychylny mojemu projektowi.

Uradowany pomyslnym wynikiem naszych narad, zabrawszy mój kuferek podróżny z rzeczami i książkami podręcznymi, wyjechałem z Chęcini niebawem pierwszą zdarzoną okazją do Zagórza pod Miechów do dziadków moich, by tam razem z mamą i młodszym rodzeństwem przepędzić całe ferie letnie.

Wózkiem lekkim parokonnym mieszczanina miechowskiego, który wracał do domu, wyruszyłem z Chęcini wczesnym rankiem

szosą krakowską gładką jak stół. Krótkie popasy dla wytchnienia koniom w Jędrzejowie i Wodzisławiu minęły prędko. Przed wieczorem jeszcze wjechaliśmy w cienistą aleję wiodącą przed bramę dworu w Zagórze. Zapłaciłem woźnicy, a chłopiec stajenny przechodzący zabrał mój kuferek do gościnnego pokoju. Ruszyłem wprost pod frontową wiejską werendę, pod którą domowi zebrani już byli przy wieczerzy. Przywitaniem, uściskom i pytaniom nie było końca.

Dziadzio siedział jak zwykle osobno, w dużym fotelu, ze swoją fajeczką prawdziwą stambulką czerwoną na długim cybuchu bambusowym z pięknym bursztynem. Obok niego na małym stoliku szklanka mocnej herbaty, garnuszek śmietanki i talerzyk truskawek z cukrem na deser.

Babcia zajmowała pierwsze miejsce za dużym stołem, nakrytym białą ceratą, przy oszklonej ścianie cieplarni obok wieży dworskiej. Zboku moja droga biedna mama, bardzo cierpiąca w głębokim fotelu półleżąc, trzymała na małym podnóżku swoją stopę zwichniętą. Wokoło siedzieli wujaszek Bogdan, ciocia Eugenja Daniewska z dziećmi, moje siostrzyczki i braciszek Micio.

Na stole półmiski pełne świeżych poziomek, malin, truskawek i różnych owoców ogrodowych, mleko zsiadłe, śmietana kwaśna i słodka, wyborna herbata, świeże pieczywo wiejskie, masło, sery, miód lipiec złocisty i co kto chciał do wyboru.

Wujaszek Bogdan, bardzo serdeczny dla mnie jak zawsze, przybywszy konno ze swego dworu z pobliskiej Charsznicy, miał tam wracać na noc i zapraszał mię zaraz do siebie. Ja jednak z chorą mamą wołałem zostać, tem bardziej, że właśnie nazajutrz miał przyjść stary owczarz dworski, bardzo biegły w leczeniu różnem, zwłaszcza zwichnięć i złamań kości.

Biedna moja mama, po długiej a bezskutecznej kuracji różnemi maściami i okładami swej chorej stopy, postanowiła na wsi zasięgnąć porady owego owczarza i dobrze się stało, gdyż skutek jego leczenia okazał się doskonały.

Wczesnym rankiem słonecznym, zaraz po śniadaniu wzywano do dworu starego owczarza Franciszka. Wszedł do pokoju mamy, pokłoniwszy się nisko dużym kapeluszem słomianym o szerokich brzegach, staruszek siwawy z bujnym włosem przyściętym równo wokoło szyi, w długiej kapocie szarej, w butach z wysokimi czarnymi cholewami.

Mama spoczywała w półleżąc na kanapie, ze swoją stopą chorą opartą na małym stołeczku. Odwinęła bandaż płócienny z nogi sinawej opuchłej, posmarowanej maścią żółtą. Owczarz obejrzał uważnie chorą stopę wokoło, i po namyśle rozpoczął poradę:

— Wielmożna pani musi porzucić precz wszelkie maście apteczne i te grube bandaże, co jeno ogień w stopie trzymają a puchlinę przewlecza, jak to mi wiadomo. Trza opuchnięcie

coprędzej usunąć. Przez tydzień moczyć stopę codzień przez godzinę zrana w kąpielce dobrze ciepłej z baranich nówek gotowanych razem z macierzanką. Wieczór przed spaniem smarować delikatnie świeżą oliwą gorącą. Po tygodniu przyjdę zobaczyć skutek.

Zaraz też kucharz Wincenty Cisłowski zakupił w Miechowie u rzeźników kilkadziesiąt baranich nówek suszonych. W głębokim cebrażku drewnianym, z gorącym odwarem tłustym pachnącym świeżą macierzanką, moczyła mama stopę starannie według polecenia. Po kilku dniach takiej kąpieli i smarowaniu oliwą ciepłą ulga była widoczna. Puchlina miękła i malała stopniowo.

Po tygodniu przyszedł znów owczarz Franciszek, obejrzał stopę, pogładził i pocieszał jak mógł:

— Niech wielmożna pani nie trapi się nic, wszystko będzie dobrze!

Niewiele mówiąc nieznacznie naciągnął stopę, nastawił zwichnięcie i naprostował zręcznie. Było trochę bólu, lecz dobry skutek.

— Trzeba teraz jeszcze przez tydzień moczyć stopę w takim samym odwarze jak przed tem, a na noc smarować znowu ciepłą oliwą codzień. Przyjdę raz jeszcze zobaczyć poprawę potem. Niech wielmożna pani będzie dobrej myśli.

Jakoż w końcu drugiego tygodnia stopa wydobrzała prawie zupełnie. Puchlina znikła całkiem, skóra nabrała barwy zwykłej, stopa w pięcie zgięta się swobodnie i bez bólu.

Mama uradowana zaczęła powoli chodzić ostrożnie po pokojach w miękkich pantoflach, z początku z laską, a potem o własnej sile.

Przyszedł raz jeszcze owczarz uśmiechnięty wesoło. Mama dziękowała mu z całego serca i uczestowała, a dziadzio obdarzył hojnie. Staruszek zadowolony na odchodnym pokłonił się mówiąc:

— Teraz wszystko będzie dobrze. Niech wielmożna pani pomaluśku chodzi po ogrodzie, po słończku, żeby stopa do reszty wydobrzała i rozruszała się.

Chodziłem też z mamą pod rękę codzień po ślicznym parku na słońce, a potem coraz dalej na łąki kwieciste do źródeł „Bezdna“, i w pola do żniwa. I wszyscy cieszyli się, i życzyli mamie zdrowia dobrego. A siostrzyczki zrywały całe pęki najpiękniejszych bławatków, maków pąsowych i przeróżnego kwiecica wonnego na bukiety do pokoju mamuni.

Żniwa na wsi, po zniesieniu pańszczyzny szły znacznie trudniej niż dawniej. Najem robotnika był coraz kosztowniejszy, bo włościanie najprzód na swoich polach sprzątali. Pomocą dużą jedynie były maszyny rolnicze: żniwiarki, kosiarki, siewniki i t. p., coraz więcej wchodzące w użycie i ulepszone stopniowo.

Dziadek sprowadził sobie żniwiarkę z Warszawy z fabryki Lilpopa. Była to machina dość ciężka (jeszcze), wszelako ułatwiała

zbiory. Ja w stodołach dozorowałem zwózkę zboża i karbowałem kopy, czytając w przerwach świeżą gazetę lub książkę naukową. Wieczorem zdawałem rachunek dziadkowi. W dnie słotne młócono zwolna zboże na kieracie, czego też pilnowałem, jak również mierzenia omłotu dziennego i odnoszenia do spichrza.

Sprzęt zboża w owym roku ukończono wcześniej niż zwykle z powodu małego urodzaju. Z trzech folwarków dzierżawionych przez dziadka od rządu: Zagórza, Strzeżowa i Siedlisk zbierano zwykle corocznie ogółem około tysiąc kóp zboża; w lecie zaś 1865 r., było zaledwie kóp trzysta. Podobnież i w Charsznicy wuj Bogdan, także z trzech folwarków, miał tylko czterysta kóp, zamiast tysiąca jak dawniej.

Przy wolnym czasie, zwykle w niedzielę i święta wuj Bogdan przyjeżdżał z Charsznicy do Zagórza konno. Zpowrotem jechałem z nim często na kucyku bardzo dobrym wierzchowcu pomagać w gospodarstwie, objeżdżać las w Dąbrowcu, łowić ryby w stawie w Ludwinowie — folwarkach tamecznych.

W Zagórze w lecie było dość gwarno, choć gości mniej bywało po wyjściu za mąż córek dziadziów, i przez to że po powstaniu były wogóle czasy ciężkie. Z Radomia przyjeżdżała ciocia Eugenja Daniewska z dziećmi swojemi: kilkoletnim Władziem, Musiem i Kasią.

Ciocia Wincentyna Zagórska z Gniazdowic pod Proszowicami odwiedzała też dziadziów ze swą dziatwą: Antosiem, Karolkim i Anusią. Wuj Edmund Zagórski bywał co niedziela robić rachunki tygodniowe budowy domu swego w Miechowie. Jeszcze bowiem 29 maja 1865 tego roku, dziadek Piątkowski place swoje po spalonym domu przy północnej połaci rynku w mieście Miechowie, oznaczone numerami hipotecznymi 98—99, aktem notarialnym sporządzonym w Zagórze przez rejenta Michała Koseckiego, przybyłego umyślnie ze Słomnik, sprzedał za 2000 rubli zięciowi swemu Edmundowi Zagórskiemu. Ten zaraz z wiosną na owych placach zaczął budować dwa duże domy dwupiętrowe, które potem odprzedał ze znacznym zyskiem kupcowi Borensztajnowi. W domach tych później mieścił się pierwszy hotel miechowski, sklepy różne, oraz cukiernia i restauracja, aż do czasu wielkiej wojny europejskiej.

Wuj Zagórski miał w majątku swoim w Gniazdowicach pod Proszowicami ładną stadninę koni. Nad rzeką Śreniawą obfite w siano łąki rozległe ułatwiały tę chodowlę. Wuj Bogdan nabył tam śliczną czwórkę młodych kasztanów, doskonale dobraną, równego wieku i maści, z białemi gwiazdkami na czołach. Ciocia Zagórska żałowała bardzo tych koników, a jej synek najstarszy, 10-letni Antoś aż się spłakał. Ale rodzice wyłomaczyli mu potrzebę tej sprzedaży. Suma bowiem otrzymana za owe konie przeznaczona była właśnie na opłatę szkolną za Antosia, który wkrótce miał być oddany do pensjonatu 4-klasowego p. Hillera w Kielcach.

Gromadka wnucząt w Zagórz, składająca się z moich trzech siostrzyczek i braciszka, oraz dwóch synków i córeczki cioci Daniewskiej, bawiła się zwykle razem hasając swobodnie po wielkim parku dworskim, lub na przechadzkach w pola i łąki. Chłopcy w koniki zaprzężeni sznurem w dwójkę popędzani przez trzeciego biczykiem, albo w żołnierzy, budowali fortece z ziemi i darniny, które bronili i zdobywali szturmem. Nad brzegami wielkich stawów robili przystanie kamienne czyli porty wodne. Wycinali z drzewa łódki i czółenka z masztami i żagielkami z papieru, puszczając całe flotyle z wiatrem do brzegów przeciwnych, lub z prądem wody strumienia zasilającego trzy stawy. Jeździliśmy też łodzią wiosłując. Karmiono rybki okruchami chleba i łowiono na wędkę. Czasami zaciągano duże włoki dla większego połowu na postne obiady i na marynaty, które przyprawiał znakomicie kucharz Wincenty Cisłowski.

Siostrzyczki moje: starsza Marynia trzynastoletnia i Hania ośmioletnia na podwieczorki poobiednie smażyły konfitury z jagód ogrodowych, znoszonych przez młodszą dźwiatwę. Wybudowaliśmy w tym celu, w cieniu wielkiego klombu środkowego piecyk z ziemi i kamieni, w którym palił się ogień z suchych gałęzi. W rondlu miedzianym pobielanym cyną, na syropie ze świeżego miodu z plastrów, gotowały się naprzemian: truskawki, renklody, maliny, śliwki węgierki, lubaszki i damaski, agrest, poziomki ogrodowe, porzeczek czerwone, białe i t. p. Zajadaliśmy to wszystko z chlebem, zapijając wodą źródlaną, przynoszoną w dzbankach przez dziewczynki. Gałęzie suche zbierali chłopcy w klombach i rąbali siekierkami, dokładając na ogień w piecyku. Po tak improwizowanym podwieczorku, rozkładaliśmy się wokoło obozem cygańskim, zasiadając lub leżąc na mórawie w cieniu drzew. Ja lub starsza siostra czytaliśmy kolejno: Dzieje Polski, Robinsona Kruzoe lub inne wesołe powiastki. W dniu gorące przed wieczorem dzieci szły do kąpeli w stawie, przy brzegu na płytkiej wodzie pod opieką niani.

Hania moja młodszą siostrzyczką ośmioletnią przygotowywała się do szkoły, przy pomocy nauczycielki domowej panny Pauliny Niklewiczówny, koleżanki siostry mojej z Imbramowic.

Marynia moja siostra najstarsza, podówczas trzynastoletnia uczennica klasy II-giej szkoły klasztornej Norbertanek w Imbramowicach, w pobliżu Miechowa, przybyła na te wakacje znacznie wcześniej jak zwykle. Powodem tego było zamknięcie przez rząd i zwinięcie jeszcze przed końcem roku szkolnego 1864—5 owego zakładu naukowego, równie jak innych tym podobnych w kraju. Marynia przeszła tam klasę I i II-gą. Według świadectw szkolnych, czyli cenzur kwartalnych, była uczennicą pracowitą, pilną i zdolną, sprawowała się wzorowo i czyniła w naukach postępy wogóle bardzo dobre i celujące, mianowicie: w językach polskim, francuskim i niemieckim, oraz w historii

i geografii powszechnej. Do muzyki nie miała zdolności, i w drugim roku szkolnym przestała się uczyć gry na fortepianie.

Wskutek zamknięcia pensjonatu w Imbramowicach mama nasza była bardzo zmartwiona i stroskana, gdzieby znów umieścić Marynię dla dalszego kształcenia. I teraz, podobnie jak przy pierwszym oddaniu siostry do szkoły klasztornej, oddziaływały i przemogły wpływy i stosunki klerykalne. Przyjaciółka dawna mamy panna Lucyna Mieroszewska, osoba wykształcona i nauczycielka w pensjonacie żeńskim panny Marji Szumowskiej w Warszawie, bawiąc na wakacjach u swych krewnych w Miechowskiem w Waganowicach, zalecała mamie bardzo gorąco ów zakład naukowy. Druga przyjaciółka i sąsiadka pani Halberowa z Mianocic (gdzie we dworze była kaplica i stały ksiądz kapelan) doradzała toż samo. Życzliwa znajoma dawna rodziców z Kielc, pani Różycka, żona prezesa dyrekcji Towarzystwa kredytowego ziemskiego, miała siostrę pannę Chwalibóg nauczycielkę w tymże pensjonacie panny Szumowskiej. Wszystkie te panie, zostające w bliskich stosunkach ze sferami klerykalnymi w Kielcach i w Warszawie, listownie i ustnie podczas odwiedzin, zachęcały mamę do oddania mojej siostry do pensjonatu panny Szumowskiej w Warszawie. Wykłady szkolne zaczynały się tam na początku września. A że ciocia Daniewska, siostra mamy, przebywająca w Zagórzcu przez lato, miała już wkrótce powracać do domu swego w Radomiu, więc po przygotowaniu wszystkiego na drogę, zabrała z sobą moją siostrę, aby ją odwiedzić potem do Warszawy.

Mama, po wyzdrowieniu szczęśliwie, zabrała się usilnie do przygotowania sukienek i bielizny Maryni, przy pomocy niani młodszych dzieci, 17-letniej miłej i ładnej dziewczyny Heli, bardzo zręcznej w tego rodzaju robotach. Także i moją bieliznę naprawiano i uzupełniano.

W końcu sierpnia, gdy już wszystko było gotowe, ciocia Daniewska z dziećmi swemi i naszą Marynią wyjechała do Radomia, gdzie zostawiwszy w domu dźwiatwę, odwiedziła siostrę do Warszawy. Tam, po przedstawieniu w pensjonacie panny Szumowskiej, świadectw szkolnych z Imbramowic i zdaniu egzaminu, Marynia została przyjętą do klasy III-ciej.

Wuj Bogdan, po ukończeniu zniw, wybrał się ze mną jak zwykle do Krakowa. Po stłumieniu powstania zbrojnego udzielanie półpasków zagranicznych było znacznie utrudnione. Naczelnik wojenny powiatu miechowskiego pułkownik Orzeł był w tym względzie bardzo surowy. Na szczęście kancelistą w biurze powiatowem był mój kolega gimnazjalny, syn rządcy dziadka naszego w Zagórzcu, Skalski, który ułatwiał nam uzyskanie kart jazdy, oraz świadectw na konie i wózek przy tem niezbędnych. W Krakowie zwiedzałem przedewszystkiem ponownie nasz prastary Wawel, katedrę groby królewskie, kopiec Kościuszki nasze pomniki i świątynię narodowe. Z kopca Kościuszki napawałem

się zawsze wspinałem widokiem na cały gród Krakusa i przepiękną dolinę Wisły. Książek i gazet nie kupowaliśmy teraz w Krakowie tak jak dawniej, gdyż na komorze w Michałowicach rewizja była bardzo ścisła, i trudno było przewieźć coś zakazanego. W Krakowie samym pełno było szpiegów rosyjskich, którzy śledzili przybyłe z Królestwa osoby i czynione przez nie zakupy, a nawet czytanie gazet w kawiarniach, rozmowy nieostrożne i stosunki towarzyskie. Ruch cały na szosie krakowskiej, przed powstaniem tak zawsze ożywiony, teraz prawie całkiem zamarł. Nie widać było jak dawniej licznych powozów, karet i wózków obywatelskich zaprzężonych w dzielne czwórki cugowe, z krakowiakami na kozłach. Zrzadka tylko spotykało się skromny wózek lub stary powóz parokonnny.

W końcu wakacyj wybrałem się jeszcze z kolegą Skalskim pieszo do Ojcowa, dla zwiedzenia tamecznych jaskiń i ruin zamku w sąsiedniej Pieskowej Skale, zniszczonego pożarem podczas powstania. Ze szczytu góry Chełmówki, panującej nad doliną rzeki Prądnika, w złocistych blaskach słońca zachodzącego, zajaśniał znów przede mną, jakby na pożegnanie wspinały widok Krakowa z murami Wawelu i błękitną sylwetą kopca Kościuszki na widnokręgu. Po wygodnym noclegu na sianie w stodole chłopskiej, wróciliśmy na drugi dzień do domu.

Ostatnie tygodnie tego lata były w Zagórzcu pogodne. Po dniu upalnym wieczorem o zmroku, przed wyjazdem do Warszawy, przy pełni księżyca, poszedłem odziany w prześcieradło i pled na ramionach wykąpać się przy wodospadzie wypływającym z ostatniego stawu na końcu parku. Nad brzegiem wody w gęstwinie wikliny ciepły wietrzyk osuszył mię zupełnie, i już miałem się odziewać, gdy nagle w cieniu drzew alei dostrzegłem postać wysmukłą zbliżającą się zwolna do wodospadu... Przybyła nad wodę, zrzuciła z ramion duży szal i prześcieradło pod nogi na trawę. Naga postać pięknej dziewczyny ukazała się w świetle księżyca. Wyciągnęła ramiona w górę i odrzuciła w tył bujne zwoje włosów. Była to Hela, nasza niania. Byskawicznie objąłem jej boski tors uściskiem mocnym. Lekki okrzyk ust rozchylonych stłumiłem pocałunkiem gorącym. Napół omdlała, obsunęła się na miękki szal wpośród gęstych kwiatów rumianu i macierzanki. Obłoki czarne zasłoniły księżyc i pogrążyły nas w ciemnościach...

W tydzień potem odbył się ślub Heli w wspinałym kościele miechowskim, przed wielkim ołtarzem przybrany zieloną leśną i kwiatami. Wyszła za mąż za swego narzeczonego, zamożnego młynarza, który od paru lat starał się o nią.

Wakacje moje skończyły się niebawem. Pojechałem raz jeszcze konno do Charsznicy pożegnać się z wujem Bogdanem, który dał mi w drogę swoje konie i wózek do Białogona za Chęcunami, do fabryki machin rolniczych dla załatwienia sprawunków i reparacji.

Mama moja z młodszym rodzeństwem pozostała jeszcze parę tygodni w Zagórzcu u dziadziów, a potem z dziećmi powróciła do domu do Chęcin.

Pożegnawszy, mamę, rodzeństwo i dziadziów, w końcu września wyruszyłem w drogę do Warszawy.

W Chęcinach zatrzymałem się krótko na nocleg u ojca. Pożegnawszy go wczesnym rankiem, ruszyłem dalej do pobliskiego Białogona załatwić sprawunki wuja Bogdana, zamówić części machin i niektóre narzędzia rolnicze potrzebne. Dojechałem parę wiorst do Kielc, i odesłałem zpowrotem wózek ze stangretem, któremu wręczyłem list i rachunki dla wuja.

Z Kielc karetą pocztową, czyli tak zwaną kurjerką, udałem się w dalszą drogę przez Radom. Tam odwiedziłem wujostwo Daniewskich, w ich pięknym domu w pobliżu Poczty miejscowej. Po śniadaniu porannem wujostwo odprowadzili mnie na stację, gdzie już stała kurjerka gotowa do wyjazdu. Przybyło też paru nowych pasażerów:

Młody kancelista adwokata wracający do Warszawy, z grubą teką skórzaną pod pachą z aktami, niski krępy szatyn, żółtej cery, z wąsem krótko przyszyronym pod nosem śpiczastym, w cylindrze czarnym na głowie.

Wkrótce nadeszła jeszcze młodziutka dama, brunetka wysmukła, z oczyma gazeli, ubrana wytwornie, w szarym płaszczku podróżnym i lekkiej kapotce na głowie z dużym woalem z gazy owiniętym wokoło białej szyjki. Przyprowadził ją mąż kapitan rosyjski, blondyn z miną wielce zafrasowaną, polecając opiece starszych pasażerów swoją małżonkę. Kancelista podał rękę szarmancko pani kapitanowej, usadowił ją w głębi karety naprzeciwko mnie, a sam zajął miejsce obok.

Po krótkich pożegnaniach kurjerka ruszyła z tętentem po bruku radomskim, a potem żwawo szosą ku Warszawie. Przejęgi na stacjach i krótkie popasy podróżnych mijaly szybko, reszta dnia i noc przeszły spokojnie. Podróżni drzemali, niewiele mówiąc. Natomiast kancelista, przyszedł adept adwokatury, zabawił swoją młodą sąsiadkę rozmową nieustanną, nie zważając że mało mu odpowiadała, a wreszcie zasnęła ukołysana jednostajnym turkotem karety. Jej drobne stopy oparły się lekko o moje nogi, co mi wcale nie sprawiało przykrości. Przytuliłem się do ściany wyściełanej i drzemałem. Wczesnym rankiem jeśiennym w sobotę wjechaliśmy do Warszawy przez rogatkę krakowską w Aleje jerozolimskie. Podróżni ożywili się nagle. Kancelista bawidamek, niezmordowany w rozmowie, żywo znów konferował ze swoją sąsiadką, która wreszcie, wobec jego próśb i nalegań, przyrzekła mu: że nazajutrz w niedzielę po południu przyjdzie ze swoją siostrą na koncert do Doliny szwajcarskiej, i zajmie miejsce u wejścia przy pierwszym stoliku. Aha, rendez-vous gotowe — pomyślałem...

Na stacji pocztowej na Placu wareckim wszyscy wysiedli. Kancelista podał rękę kapitanowej. Ja również uprzejmie wyniosłem jej mały sakwojaż do dorożki, za co otrzymałem miły uśmiech i lekki uścisk dłoni. Chłopiec najęty zabrał mój kuferek i pośpieszyłem zaraz do domu na ulicę Chmielną.

Stryjostwo wcześniej zwykle wstawali. Poszedłem ich przywitać, i zostałem u nich na śniadaniu. Wziąłem klucz od mego mieszkania, gdzie przedewszystkiem otwarłem wszystkie okna, a stróż Teodor przyniósł mi dzban zimnej wody do mycia.

Przebrałem się i przedewszystkiem pośpieszyłem odwiedzić moją siostrzyczkę Marynię w pensjonacie panny Szumowskiej. Pensjonat mieścił się niedaleko, w ładnej kamienicy dwupiętrowej, w Alejach jerozolimskich na rogu ulicy Kruczej, z dużą przy niej oficyną i bramą na podwórzec. Z frontu od Alei drzwi ozdobne prowadziły do wielkiego przedsionka, z którego po szerokich schodach podwójnych, krzyżujących się, wszedłem na I piętro. Zadzwoniłem lekko. W przedpokoju przyjęła mnie nauczycielka dyżurna panna Chwalibożanka (siostra pani prezowej Różyckiej znajomej rodziców z Kielc). Poprosiłem o widzenie się z siostrą i zostałem wprowadzony do obszernego salonu. Wkrótce przybiegła do mnie Marynia uradowana mojem przybyciem. Po przywitaniu oddałem jej zaraz listy od rodziców, pakiecik od babci z różnymi drobiazgami do jedzenia, a od siebie bukiet róż, kupiony w słynnym ogrodzie pomologicznym Hozera w pobliżu. Aby nie odrywać siostry od lekcyj bieżących, po krótkiej rozmowie pożegnałem się, obiecując przychodzić stale co niedziela po południu.

Niezwłocznie potem udałem się na Krakowskie Przedmieście do kancelarii wydziału przyrodniczego oznajmić o życzeniu mojem przejścia na wydział prawny Szkoły głównej, na co też zaraz otrzymałem pozwolenie. W matrykule mojej sekretarz wydziału profesor Pęczarski wpisał adnotację że: „Przeciwko przejściu p. Czarnowskiego Stanisława na wydział prawny ze strony wydziału przyrodniczo-matematycznego żadna nie zachodzi przeszkoda“.

Jednocześnie wniosłem opłatę półroczną i zapisałem się na kurs I wydziału prawa i administracji; matrykulę otrzymałem później po jej przygotowaniu. Zanotowałem też sobie ogłoszenia profesorów wywieszane w przedsionku głównym gmachu uniwersyteckiego o wykładach, które za dni kilka miały się rozpocząć.

Po obiedzie i załatwieniu kilku najpilniejszych sprawunków wróciłem do domu, aby po nurzącej podróży nocnej wypocząć wieczorem i wcześniej spać położyć.

Nazajutrz w niedzielę ranek jesienny był pogodny, dzień słoneczny i gorący. Uporządkowałem moje książki podręczne i materiały piśmienne do zapisek wykładowych.

Po południu wpadłem na werandę cukierni Semadeniego w Saskim ogrodzie przy wejściu głównym, aby spotkać kolegów tam zwykle przychodzących. Przy osobnym stoliku siedział już, przy czarnej kawie, kolega mój zeszlóroczny z wydziału przyrodniczego Marjan B*. Kazałem sobie podać szklanke herbaty, i opowiedziałem zaraz całą historję o mojej podróży karetką pocztową, o pięknej damie i schadzce przez nią przyrzeczonej kanceliście adwokata na dzisiejszym koncercie w Dolinie.

Kolega Marjan, znakomity matematyk, zachwycony był moim projektem podstawienia nas w miejsce owego kauzyperdy...

— Wyrzucić go za nawias! krzyknął...

Wkrótce nadeszli dwaj inni moi koledzy jeszcze z gimnazjum kieleckiego: Staś Juszyński i jego brat Kazio studenci prawa, i zostali zaraz wciągnięci do spisku. Powiedziano, zrobiono!

Nie tracąc czasu zapłaciliśmy nasze kawy i herbaty, poszliśmy wszyscy razem na przechadzkę do Parku Łazienkowskiego, przy niedzieli w garniturach cywilnych i czarnych cylindrach, a potem o godzinie 6-tej do Doliny szwajcarskiej, przed rozpoczęciem koncertu orkiestry Bilsego. Umówiliśmy się, że bracia Juszyńscy wejdą osobno, a ja razem z kolegą Marjanem.

Jakoż zaraz przy wejściu, koło terasu pałacu Doliny, przy pierwszym stoliku, ujrzeliśmy moją piękną znajomą z jej siostrą, w jasnych kostjumach koncertowych. Po przywitaniu, przedstawiłem kolegę Marjana B* tym paniom i zajęliśmy miejsca obok nich. Rozmowa o rzeczach bieżących potoczyła się żywo. Wkrótce też spostrzegłem przechodzącego koło nas towarzysza podróży, który z kwaśną miną złożył ukłon naszym damom, i rad nie rad poszedł dalej szukać szczęścia w tłumie publiki świątecznej.

— Spóźniającym się gości!... rzekłem do sąsiadki, która roześmiała się głośno, ukazując śliczne białe ząbki.

Kolega Marjan kazał podać lody. Pod koniec koncertu przyłączyli się do nas koledzy Juszyńscy, przedstawieni przeze mnie paniom. Zapropnowaliśmy im na jutro spacer łodzią po Wiśle, na co zgodziły się chętnie, zapraszając nas do siebie na popołudnie na ulicę Bielańską, gdzie miało przyjść jeszcze parę koleżanek siostry kapitanowej ze szkoły baletu.

Po skończeniu koncertu zawałęm dorożkę, i z kolegą Marjanem odwieźliśmy nasze znajome do domu ich mieszkania. Siostra młodej kapitanowej zajmowała małe eleganckie mieszkanie w oficynie domu piętrowego, przy rogu ulicy Bielańskiej i Długiej. Zabawiliśmy tam krótko, pożegnawszy się do jutra...

Pogoda nam sprzyjała. Nazajutrz od rana było słonecznie i gorąco, nawet nieco parno, a cisza w powietrzu. Po południu wczesnie wstąpiłem po drodze po kolegów Juszyńskich na ulicę Mazowiecką i poszliśmy razem do kapitanowej, gdzie zastaliśmy już kolegę Marjana i całe grono młodzieutkich adeptów Terpsychory, w lekkich strojach spacerowych. Po wzajemnem przed-

stawieniu, ofiarowałem damom świeże kwiaty, które zaraz przypięły do gorsów. Podałem rękę kapitanowej; kolega Marjan, z dużą bombonierą cukrów, jej siostrze; bracia Juszyńscy, z pakietami winogron i owoców, prowadzili dwie jej koleżanki. I tak wszyscy ruszyliśmy pieszo na Zjazd mostu żelaznego nad Wisłę.

Przewoźnicy nadbiegli zachwalając swoje łodzie. Wybrałem dużą żaglówkę z godłem Warszawy „Syreną”. Sprowadziliśmy nasze panie po schodach i zajęliśmy miejsca na ławeczkach parami. Wioślarz odbił od brzegu, nastawił żagiel pod wiatr i ruszyliśmy zwolna pod wodę ku Saskiej Kępie.

Słońce paliło, powietrze było parne, nagle zaczął dąć wiatr urywany zmienny. Od południo-zachodu wysunęły się ciemne chmury, zamrnczał daleki grzmot. Byliśmy już na środku Wisły koło Solca. Czarne chmury pokryły szybko niebo nad nami. Błysnęło i huknął grzmot. Lunęła ulewa kroplista. Wioślarze zwinęli żagiel.

— Gdzie panowie każą lądować? spytali.

— Na Saską Kępę, z wodą! całym pędem wiosła!... krzyknąłem.

Momentalnie łódź zawróciła, unoszona bystrym prądem koryta Wisły, parta wiosłami długimi ukosem ku brzegowi.

Zaczęły bić pioruny, błyski i grzmot naprzemian. Panie tuliły się do naszych ramion, parasolki i parasole niewiele pomogły. Dla zagłuszenia grzmotu huknęliśmy chórem pieśń Wasilewskiego:

Wesoło żeglujmy — wesoło

Po życia burzliwym potoku,

Jak orły w gradowym obłoku,

Wesoło żeglujmy — wesoło!

Wisła wzburzona wichrem zaniósła nas nagle na kraniec Saskiej Kępy, naprost ostatniego dworka w pobliżu Pragi. Ulewa ucichła, burza przeleciała dalej na wschód. Przybiliśmy do brzegu spadzistego, porośłego wikliną. Panowie wysiedli, podali ręce paniom. Zapłaciłem przewoźników, i wnet dostaliśmy się pod dach gościnny dworka „Pod kotwicą”. W salonie z fortepianem i zwierciadłami panie poprawiały swoje toalety obmokłe. Podano gorącą herbatę i zakąski naprędce.

Syn gospodarza bufetu zasiadł do fortepianu. Walc z „Fausta” Gounoda, a potem kadryl Ofenbacha z „Życia paryskiego” rozgrzały wkrótce wszystkich.

Kolega Marjan kazał podać poncz, rozłożyliśmy nasze owoce, winogrona i cukry deserowe. I zabrzmiał wesoły chór z „Traviaty” Verdiego:

Niech krążą — niech krążą

Puhary ochoczo —

Dłonią piękności, podane!

Chwytajmy — chwytajmy
Tę chwilkę uroczą,
Co się rozkoszą zwie!
Więc pijmy — więc pijmy
Na chwałę miłości,
Co życiem włada tem!
Bo miłość jest jako kwiat,
Dziś kwitnie — jutro schnie....

Ściemniło się wkrótce zupełnie. Księżyc w pełni wypłynął zpoza chmur rzędniejących. Trzeba było pomyśleć o powrocie do miasta. Rada w radę: jeden z nas musi sprowadzić parę dorożek lub coś podobnego. Ale kto? Kapitanowa zrobiła węzełek na swojej chusteczce, wysunęła cztery koniuszki w piastce, i podała nam do losowania:

— Kto wyciągnie węzełek, pójdzie na Pragę po konie! zawyrokowała.

Ofiarą padł Staś Juszyński, i po rycersku ruszył zaraz w drogę przy gromkiej fanfarze:

Bywaj nam zdrowy Staszku kochany!
Już w ciemnej nikt nieś pomroce....

A potem zabrzmiał jeszcze jeden walc na zakończenie tej letniej zabawy, i chór z „Fausta“:

Hej w tan, hej w tan!
Walcujmy wciąż,
Tak jak wietrzyk
Nim deszczyk ład zrosi....

Wreszcie mały odpoczynek, i niebawem usłyszeliśmy wśród ciszy nocnej głośny turkot. To Staszek spisał się dzielnie i sprowadził z Pragi duży omnibus osobowy, wracający już na nocleg do stajni przed północą.

Usadowiliśmy się wygodnie na wyściełanych ławkach. Nasz stangret dostał szklanekę pączu na odjeździe, śmignął dziarsko biczem i ruszyliśmy z fantazją kawalerską przez Pragę do Warszawy, wprost na ulicę Bielańską.

Przed mieszkaniem siostry kapitanowej Staś i Kazio Juszyńscy podali ręce młodszym panienkom, które prosiły o odprowadzenie ich do domu.

Kolega Marjan i ja zawiedliśmy nasze panie do mieszkania nagórę, gdzie nas jeszcze uprzejmie zaproszono. Kolega pożegnał się wcześniej i wyszedł.

Pani kapitanowa miała wyjechać z Warszawy nazajutrz raniutko, więc zatrzymała mię prosząc abym zabrał liścik, który zaraz napisze i zaadresuje. Tymczasem poprosiła mię do swego pokoju. Był to mały buduar, zacisznie urządzone w stylu orientalnym. Arabska ampla, zwieszająca się od stropu, rzucała

światło łagodne półmroku. Za kotarą błękitną napół podniesioną otomana szeroka pokryta była dywanem puszystym. Podłogę zaścierała wielka skóra z białego niedźwiedzia polarnego.

Wkrótce też weszła tam uroczą kapitanową, przebrana w negliż nocny przejrzysty, z włosiem bujnym rozpuszczonym na ramionach obnażonych, bosonoga. Ułożyła się na otomanie i przeciągnęła rozkosznie jak młoda tygrysica. Oczy jej czar rzucały nieprzeparty...

Wszystko to jest bardzo ważne i należy do najważniejszych zasad polityki państwa. Wobec tego należy być bardzo ostrożnym i nie dopuścić do żadnych ustępstw. Wobec tego należy być bardzo ostrożnym i nie dopuścić do żadnych ustępstw.

Wobec tego należy być bardzo ostrożnym i nie dopuścić do żadnych ustępstw. Wobec tego należy być bardzo ostrożnym i nie dopuścić do żadnych ustępstw.

Wobec tego należy być bardzo ostrożnym i nie dopuścić do żadnych ustępstw. Wobec tego należy być bardzo ostrożnym i nie dopuścić do żadnych ustępstw.

Wobec tego należy być bardzo ostrożnym i nie dopuścić do żadnych ustępstw. Wobec tego należy być bardzo ostrożnym i nie dopuścić do żadnych ustępstw.

Wobec tego należy być bardzo ostrożnym i nie dopuścić do żadnych ustępstw. Wobec tego należy być bardzo ostrożnym i nie dopuścić do żadnych ustępstw.

Wobec tego należy być bardzo ostrożnym i nie dopuścić do żadnych ustępstw. Wobec tego należy być bardzo ostrożnym i nie dopuścić do żadnych ustępstw.

Od Wydawnictwa „Pamiętników S. J. Czarnowskiego”.

Wyszły z druku:

Zeszyt 1. Przedmowa. Wstęp. Rodowód familji Czarnowskich i rodzin z nią spokrewnionych. I. Mój ojciec i jego rodzina. II. Matka moja i jej rodzina.

Zeszyt 2. III. Lata dziecięce moje w Staszowie, Miechowie i Stopnicy (r. 1847 — 1856), rzeź galicyjska i wojna węgierska.

Zeszyt 3. IV. Lata szkolne w Kielcach (1856 — 1860), wojna włoska.

Zeszyt 4. Lata gimnazjalne w Kielcach (r. 1860 — 1864), powstanie styczniowe, bitwa miechowska.

Zeszyt 5. V. Lata uniwersyteckie w Szkole Głównej w Warszawie (1864 — 1865 r.). Wydział przyrodniczy.

Pod prasą dalsze części:

VI. Wydawnictwa moje i aplikacja sądowa w Warszawie (1869 — 1873 r.), wojna francusko-niemiecka.

VII. Księgarnia kolportacyjna w Warszawie (1874 — 1880 r.), wojna bałkańska, Włodzimierz Spasowicz.

VIII. Czytelnia publiczna w Warszawie i 1-sza podróż na Wschód południowy (1881 — 1883), wojna egipska.

IX. Podróż na Zachód i pobyt w Nicei (1884 — 1885 r.).

X. Pobyt w Konstantynopolu (1886 — 1890 r.).

XI. Powrót do Warszawy (1890 — 1894 r.).

XII. Pobyt w Miechowie i Ojcowie (1895 — 1917), wielka wojna europejska.

XIII. Pobyt w Kielcach (1918 — 1920 r.), oswobodzenie i niepodległość Polski.

XIV. Zakończenie. Marzenia niespełnione.

„Pamiętniki Stanisława Jana Czarnowskiego“, wydawane zeszytami, zawierają wspomnienia z trzech stuleci XVIII, XIX i XX w porządku dziejowym. Zeszyty dotychczas wydane obejmują, prócz dawnych wspomnień rodzinnych (z tabelą genealogiczną), opis lat dziecięcych i czasów szkolnych autora z mnóstwem szczegółów wielce interesujących o ówczesnych stosunkach pedagogicznych, towarzyskich, społecznych i dziejowych.